NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 24 marca 1917. Nr. 12.

Zamach stanu w Rosyi.



Ogólny widok na siedzibę Dumy w Petersburgu, pałac Taurydzki, w którym po zamachu stanu internowano aresztowanych ministrów.

Zamach stanu w Rosyi.

Wśród tylu niespodzianek, jakie zgotowała nam obecna wojna, najbardziej może nieoczekiwaną i zdumiewającą, jest obecny przewrót w Rosyi... Trudno dziś jeszcze zdać sobie sprawę z sytuacyi, w jakiej znalazło się państwo carów, nie ulega jednak wątpliwości, że obecne wydarzenia w Rosyi zasadniczo różnią się od anarchii rewolucyjnej w roku 1905/6. Wprawdzie zaczęły się one od rozruchów głodowych, ale rozruchy te były raczej tylko epizodem ubocznym. Istotą przewrotu jest zamach stanu z góry uplanowany i z wielką precyzyą wykonany przez opozycyjne koła Dumy w porozumieniu z kierowniczemi kołami armii i z „dyktatorem“ koalicyi w Petersburgu, ambasadorem angielskim Buchananem.

Gdy odrzucimy na stronę różne niesprawdzone wieści i pogłoski, krążące o wydarzeniach petersburskich, przebieg ich da się ująć w następujący obraz:

Ludność Petersburga, wskutek zupełnej dezorganizacyi gospodarczej i złego zaopatrzenia w żywność, była rozgoryczoną już od dłuższego czasu i szemrała przeciw rządowi, który czyniła wyłącznie odpowiedzialnym za wszelkie cierpienia, jakie musiała znosić.

Rząd, przewidując niepokoje, wydał obszerne zarządzenia celem utrzymania porządku. Między innemi zarządził rozwiązanie Rady państwa i Dumy. Ale Duma postanowiła dnia 11. marca nie uczynić zadość cesarskiemu ukazowi, kontynuować posiedzenia i wybrała natychmiast komitet wykonawczy z dwunastu członków pod przewodnictwem prezydenta Rodzianki. Komitet ten uznał się za prowizoryczny rząd i wydał następującą odezwę:

„Wobec ciężkiego położenia i groźnych nieporządków, które zawdzięczamy polityce dawnego rządu, widzi się komitet wykonawczy zmuszony ująć w swe ręce publiczny porządek. W pełnej świadomości odpowiedzialności za powzięte uchwały, wyraża komitet wykonawczy przekonanie, że ludność i wojsko będą mu w ciężkiem zadaniu pomagały przy utworzeniu nowego rządu, który zadośćuczyni życzeniom ludu i posiada jego zaufanie.“

Komitet wykonawczy oparł się na ludności stolicy, która podniosła bunt i na garnizonie Petersburga, który, w sile przeszło 30 000 żołnierza, połączył się w zupełności z powstańcami.



Zmiany na kierujących stanowiskach: J. E marszałek polny porucznik. Oskar Guseck Edler von Glankirchen, komendant twierdzy w Krakowie.

Duma uznała gabinet za nieistniejący i sama objęła rządy.

Do rewolucyjnego komitetu wykonawczego, ustanowionego przez Dumę, weszły następujące osoby: prezydent Dumy Rodzianko, przywódca socyalno demokratycznej frakcyi Dumy Czecheidze, przywódca partyi robotniczej Kereńskij, przywódca kadetów Milukow, październikowiec pułkownik Engelhardt, wiceprezydent kadet Konowałow, oficer kozaków Karałow, pierwszy sekretarz Dumy Dymitriukow, drugi sekretarz Dumy Rzewski, przywódca październikowców Szydłowski, kadet Nektessałow, przywódca umiarkowanych październikowców książę Lwow, przywódca lewicy nacyonalistycznej Szulligin.

Wszystkich ministrów z prezydentem gabinetu aresztowano i osadzono tymczasowo w gmachu Dumy, a u steru władzy stanął nowy gabinet, ustanowiony z łona członków Dumy. Do gabinetu tego weszli:

Książę Lwow, prezydent Związku ziemstw, jako prezydent ministrów i minister spraw wewnętrznych, poseł petersburski Milukow (minister spraw zagranicznych), poseł saratowski Kerenskij (minister sprawiedliwości), wiceprezydent Dumy Ukrasow (minister ruchu), poseł kostromski Konowałow (minister handlu i przemysłu), profesor uniwersytetu moskiewskiego Manuiłow (minister oświaty), członek Rady państwa i były prezydent trzeciej Dumy. Guczkow (minister wojny i tymczasowy minister marynarki), poseł petersburski Szingarew (minister rolnictwa), poseł kijowski Tereszczenko (minister skarbu), poseł kazański Godniew (kontrolor państwowy).

Dalszy rozwój rewolucyi rosyjskiej przeszedł wszelkie oczekiwania. Nastąpiła detronizacya cara (albowiem nie ulega wątpliwości, że car dobrowolnie nie ustąpił), a regentem został obwołany młodszy brat cara, wielki książę Michał Aleksandrowicz, który do niedawna był jeszcze w niełasce u cara i nie miał przystępu do dworu z powodu swego morganatycznego małżeństwa i awanturniczego życia.

O abdykacyi cara Mikołaja II obwieściła urzędowa Petersburska Agencya Telegraficzna, która ogłosiła następujący manifest zdetronizowanego cara:

„My, z Bożej łaski Mikołaj II, car wszech Rosyi, car Polski, wielki książę Finlandyi itd. podajemy niniejszem naszym wiernym poddanym do wiadomości co następuje:

W dniach wielkiej walki przeciw zewnętrznemu nieprzyjacielowi, który od trzech lat stara się ujarzmić naszą ojczyznę, raczył Bóg zesłać nowe doświadczenie. Wewnętrzne trudności grożą fatalnem oddziałaniem na ostateczny wynik zaciętej wojny. Przyszłość Rosyi, honor mojej armii, szczęście ludu i cała przyszłość naszej drogiej ojczyzny domagają się, by wojna za wszelką cenę doprowadzona została do zwycięskiego końca. Okrutny nieprzyjaciel czyni ostatnie wysiłki i bliską jest chwila, w której nasze waleczne wojska wspólnie z naszymi sprzymierzeńcami obalą nieprzyjaciela ostatecznie o ziemię.

W tych, dla życia Rosyi decydujących dniach, uważaliśmy za nasz obowiązek sumienia, by naszemu



Zmiany na kierujących stanowiskach: J. E. jenerał kawaleryi, hr. Karol Huyn, nowomianowany namiestnik Galicyi



Zamach stanu w Rosyi: Zdetronizowany car Mikołaj z wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem w głównej kwaterze.



Zamach stanu w Rosyi: Prezes rewolucyjnego komitetu wykonawczego, prezydent Dumy M. Rodzianko.



Z frontów bojowych: Główna ulica w Bapaume na zachodnim froncie.

narodowi ułatwić ścisłą spójnię i organizacyę wszystkich jego sił dla urzeczywistnienia zwycięstwa.

Dlatego w zgodzie z Dumą państwa uznaliśmy za rzecz dobrą, zrzec się korony państwa rosyjskiego i złożyć najwyższą władzę. Ponieważ nie chcemy się rozstać z naszym ukochanym synem, oddajemy nasze prawa następstwa naszemu bratu, wielkiemu księciu Michałowi Aleksandrowiczowi, któremu, przy jego wstąpieniu na tron państwa rosyjskiego, błogosławimy.

Polecamy naszemu bratu, by, w pełnej zgodzie z przedstawicielami narodowymi, rządził, utrzymywał w mocy ustawowe urządzenia i złożył na nie nienaruszalną przysięgę imieniem wielce ukochanej ojczyzny.

Wzywamy wszystkich wiernych synów ojczyzny, aby wypełnili swój święty obowiązek posłuszeństwa carowi w ciężkiej chwili doświadczeń zesłanych na naród i by wraz z przedstawicielami ludu byli mu pomocni w skierowaniu narodu rosyjskiego na drogę szczęścia i chwały. Niech Bóg chroni Rosyę!“

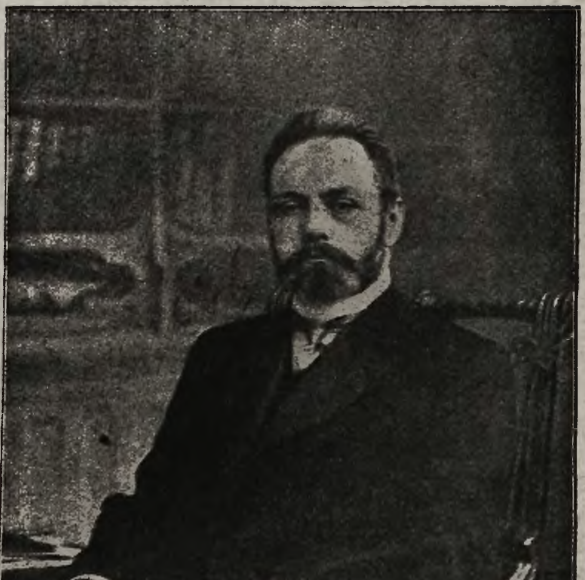
Że ten niespodziewany przewrót w Rosyi został dokonany przy poparciu państw koalicyi najlepiej świadczy fakt, iż zastępcy Anglii, Francyi i Włoch w kilka dni zaledwie po dokonaniu zamachu stanu uznali nowy rząd rosyjski.



Z frontów bojowych: Obóz tureckiej piechoty w dolinie Tygrysu.



Z frontów bojowych: Prowizoryczna kuchnia polowa w rowie strzeleckim na wschodnim froncie.



Zamach stanu w Rosyi: Aleksander Guczkow, były prezydent Dumy, obecnie minister wojny z ramienia komitetu rewolucyjnego.

Zmiany na kierujących stanowiskach.

W ostatnich czasach na kierujących stanowiskach w Austryi zaszły liczne zmiany. Po ustąpieniu bar. Conrada v. Hötzendorf, szefem sztabu jeneralnego wspólnej armii zamianowany został jenerał piechoty Artur v. Arz, zwycięzca z pod Limanowy i Brześcia Litewskiego, namiestnictwo Galicyi objął generał kawaleryi hr. Huyn, komendę zaś krakowskiej twierdzy marszałek polny porucznik Guseck v. Glankirchen.

Nowy szef austryackiego sztabu jeneralnego należy do najwybitniejszych dowódców w obecnej



Z frontów bojowych: Odpoczynek niemieckich żołnierzy na jednej ze stacyi kolei bagdadzkiej



Zmiany na kierujących stanowiskach: J. E jenerał piechoty, Artur v. Arz, szef sztabu jeneralnego armii austryacko-węgierskiej.

wojnie. Przy powstrzymaniu rosyjskiej ofenzywy na linii Tarnów—Limanowa - Gorlice korpus jego odegrał bardzo ważną rolę i przyczynił się głównie do pobicia nieprzyjaciela, poczem ścigał cofającą się armię aż pod mury Brześcia Litewskiego. Z kolei rzeczy, już jako komendant armii, spisał się dzielnie jenerał Arz na froncie rumuńskim.

Hrabia Huyn, urodzony w r. 1857, kształcił się w terezyańskiej Akademii wojskowej w Wiener-Neustadt skąd wyszedł w r. 1879 w randze porucznika kawaleryi. Po ukończeniu szkoły wojennej przydzielony był zrazu do sztabu jeneralnego. Przeważną część swej służby spędził w Galicyi i podczas swego pobytu miał sposobność poznać kraj i ludzi.

Urzędowanie, jako namiestnik Galicyi, rozpoczął hr. Huyn w Białej w dniu 11 marca b. r. Przedewszystkiem przedstawili się wszyscy urzędnicy namiestnictwa z wiceprezydentem Grodzickim na czele. Na powitanie odpowiedział namiestnik, zaznaczając wyraźnie, iż „jego nieznajomość obu języków krajowych w niczem naruszyć nie może ustawowo ustalonych praw obowiązującego w Galicyi polskiego języka urzędowego oraz praw, przyznanych językowi ruskiemu".

Tego samego dnia wieczorem przybył hr. Huyn do Krakowa.

Marszałek polny porucznik Oskar Guseck Edler v. Glankirchen objął komendę krakowskiej twierdzy po jenerale Lukasie, zamianowanym komendantem korpusu na jednym z frontów bojowych.

Obejmując urzędowanie, zaznaczył wyraźnie nowy komendant, że życzliwie odnosić się będzie do spraw miasta i ludności cywilnej i w miarę możności uwzględniać słuszne jej żądania i potrzeby.



Ziemianki austryackich żołnierzy na rosyjskim froncie.



Z frontów bojowych: Naprawa reflektora w rowie strzeleckim na północnym froncie.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

25

Co pocznie dalej — nie wiedziała i... rzecz dziwna, na pomoc Konrada nie liczyła wcale. Nie przeszło jej to nawet przez myśl, że on właściwie teraz troszczyć się o nią powinien.

— Jak ja ci mam dziękować, Józieńko, jak? — szeptał dalej Zarnicki, tuląc do swoich spieczonych warg rękę Józi.

— Za cóż masz dziękować? Przyjechałam, bo tęskniłam, bo pragnęłam cię widzieć. Gdybym nie przyjechała, to zwariowałabym chyba.

— Józiu! Dziecko! Ty chyba nie zdajesz sobie sama sprawy z tego, coś zrobiła dla mnie i coś rzuciła! Ale ja to rozumiem! Byłem słaby, byłem lekkomyślny, to prawda, ale podły nie byłem nigdy, Józiu! I kocham cię! Wyzdrowieję, zaczniemy we dwoje nowe życie! Wierzysz mi, Józiu, wierzysz? — mówił gorączkowo.

— Wierzę! — odszepnęła Józia jakoś niepewnie, wahająco.

Gdyby była szczera w tej chwili, byłaby krzyknęła: Nie wierzę! Kocham cię i dla tej miłości rzuciłam wszystko, ale w szczęście nie wierzę!

— Dlaczego nie zdejmujesz płaszczyka, Józiu? — zapytał nagle Zarnicki — Tutaj duszno, gorąco, zaziębisz się...

— Ja już odejść muszę...

— Już? Dlaczego?... Poczekaj! Przyjdzie moja matka, zapoznam was... powiem jej...

Dreszcz przerażenia wstrząsnął nagle Józią.

Matka Konrada, o której zapomniała zupełnie, zamajaczyła jej w myśli: groźna, nieubłagana, szydercza.

Tak! Ta kobieta przyjdzie, ale chyba po to, żeby ją znieważyć i wypędzić.

Trzeba iść! Trzeba odejść samej! Dokąd, wszystko jedno!...

— Odchodzę już Konradzie... Bądź zdrów...

— Dlaczego się tak spieszysz?.. Dokąd chcesz iść?... Gdzie zamieszkałaś, Józiu?..

— To jest... dotychczas... właściwie nigdzie... nie miałam czasu pomyśleć o tem...

Dźwignął się z poduszek i, z niezwykłą u chorego siłą, chwycił dziewczynę za ręce.

— Józiu! Spojrz mi prosto w oczy!... Ty nie jesteś szczera, nie masz do mnie zaufania!... Prawda! Nie zasłużyłem dotychczas na nie!...

— Ależ, Konradzie!... Doprawdy, nie wiem, o co ci chodzi?...

— Wiesz!... Dziecko szalone, co ty robić zamyślasz?... Powiedz! Przyjechałaś tak, jak stoisz?... Ty nie tylko nie masz mieszkania, ale nie masz pieniędzy, żeby je sobie wynająć, prawda?...

Na twarz Józi wytrysnął gorący rumieniec. Odwróciła głowę.

— Nie, nie, mam pieniądze... Puść mnie, muszę iść...

— Nie kłam!... Ja umiem czytać w twoich oczach!... O! Józiu! Czy ty nie czujesz tego, jak bardzo mnie upokarzasz tym brakiem zaufania?... Na moje wezwanie rzuciłś bezpieczne zaciszne schronienie, a teraz wolałabyś raczej błądzić bez dachu, niż...

Nie dokończył, bo w tej chwili otwarły się drzwi i do pokoju weszła, głośno i szybko dysząc, pani Zarnicka.

Gniewne spojrzenie jej władnych, ciemnych oczu piorunem padło na Józię, której ręce trzymał jeszcze w swoich Konrad.

Dziewczyna usunęła się szybko. Pod wzrokiem Zarnickiej skurczyła się, zmalała i uczyniła ruch taki, jakby czemprędzej chciała się chciała przez drzwi wydostać.

Ale Konrad przeszkodził jej ucieczce. Z rozbłysłemi szczęściem oczyma wyciągnął rękę i, wskazując matce na Józię, rzekł tonem pewnym i stanowczym:

— Mamusiu! Ciesz się razem ze mną!... Patrz! Moja narzeczona przyjechała!... Mamo, uściśnij twoją synową!...

Obie kobiety stały nieruchomo, mierząc się teraz wzrokiem bo i Józię po chwili tchórzostwa, ogarnęło uczucie jakiejś rozpaczliwej odwagi...

Ani jedna ani druga nie postąpiła kroku, ani jedna ani druga nie przemówiła słowa.

Tylko oczy Józi patrzyły coraz śmielej i jakby wyzywająco, a spojrzenie Zarnickiej pałało coraz silniejszą nienawiścią i coraz większym gniewem.

Może byłaby zapomniała nawet o chorobie syna i potrzebie oszczędzania go, może wypowiedziałaby jakieś słowo złe i twarde, gdyby nie doktor Rzęśniewski, który spieszył za nią do swego pacyenta.

— Brawo! Panie Konradzie!... — zawołał już od progu — Siedzimy na łóżku, doskonale!... I jakiś inny blask oczu!... Nie omyliłem się... Z pani lepszy lekarz niż ze mnie!... — zwrócił się z żartobliwym uśmiechem do Józi.

Zarnicka opamiętała się i przygryzła wargi.

Konrad z przykrem zdziwieniem spoglądał to na matkę, to na Józię...

— Mamusiu, dlaczego nie mówisz nic do mojej Józi? Józiu, dlaczego nie witasz się z moją mamą?...

Józia podniosła wyżej głowę i nie zmieniając swojej sztywnej postawy, rzekła suchym, bezdźwięcznym głosem:

— Ja się już witałam z panią Zarnicką!...

— — — — — — — — — — — —

Kapryśne słońce rozdarło oponę mgły i nagle, jakby z poza szarej, brzydkiej kurtyny, podniesionej niewidzialną ręką, wyłonił się świat górskich olbrzymów w całej potędze swojej groźnej piękności...

Złociły w słońcu świeże śniegi na szczytach i przełęczach, wychyliły się smukłe turnie, niezgrabne „kopy“, zębate „granie“, poszarpane baszty...

Józia, która ulicą zakopiańską idzie obok doktora Rzęśniewskiego, zatrzymuje się zdumiona, olśniona i patrzy.

Pomimo wszystkie troski i wstrząśnienia, wrażliwa jej natura nie może pozostać obojętną w obliczu dzikiego, tajemniczego piękna gór...

Doktor Rzęśniewski uśmiecha się zadowolony, widząc na tej smutnej, stroskanej twarzy dziewczęcej wyraz podziwu i zachwytu.

— Pani pierwszy raz widzi góry? — pyta.

— Pierwszy... Nie wyobrażałam sobie, że to może być takie piękne... Jak zaklęte jakieś królestwo... Cudne, tajemnicze, a groźne... Wie pan, to tak, jak u Mickiewicza: „i ręką tam nie wskazuj, nie masz u rąk pierza i myśli tam nie puszczaj“...

— No, nie wszystko takie groźne i niedostępne, jak się zdaleka wydaje... Ludzie nauczyli się deptać po tych czarnych kolosach... A teraz, w wyższych niż nasze Tatry górach toczą się od tylu miesięcy walki... Wśród wiecznych śniegów, na lodowcach... Widzi pani ten wielki, czarny szczyt, taki groźny na pozór?... To Swinnica. Prowadzi na nią droga względnie łatwa i wygodna. Albo niech pani spojrzy w drugą stronę... Ta sa ujta, szczerbata turnia z krzyżem na szczycie, to ojciec Zakopanego, Gewont... Prawda, jak niedostępnie, majestatycznie wygląda, a tymczasem na Gewont małe dzieci chodzą..

— Doprawdy? Można tam się dostać? Och! Jak jabym chciała!...

— Życzenie pani może się spełnić z łatwością. Zabawi pani przecież dłużej w Zakopanem. Jeżeli czas pozwoli, wybierzemy się na kilka łatwiejszych wycieczek.

Ostatnie słowa lekarza zgasiły odrazu chwilowe ożywienie Józi, przypomniały jej twardą rzeczywistość...

— Ja zabawię w Zakopanem?... Ależ nie mogę, bo ja..

— Ech! Co tam pani wie, co pani może lub nie — powiedział Rzęśniewski tonem napół żartobliwym, napół poważnym. — Pani jest jeszcze osóbką bardzo młodą i niedoświadczoną, no i czasem trochę nierozsądną.. Prawda, panno Józiu, bo tak się pani nazywa?...

— Nierozsądna?... Ja jestem waryatka... szalona... panie doktorze — wybucha Józia ze zwykłą sobie szczerością.

— Tak znowu źle nie jest — uśmiechnął się dobrodusznie lekarz — ale w każdym razie przyznaję pani, że trzeba się panią opiekować... Pan Zarnicki chwilowo powierzył mi opiekę nad panią, ale ja ten przywilej przeleję na moją żonę... Jako kobiety, porozumiecie się lepiej... Tylko musi pani mojej żony słuchać, bo ona wymagająca i surowa... Nawet mnie porządnie w karbach trzyma...

Józia spojrzała na doktora załzawionemi oczami, w których promieniała bezgraniczna wdzięczność.

— Jaki pan dobry dla mnie! Ależ ja nie mogę obarczać państwa sobą... I co powie pańska żona?... Ja nie zasługuję na tyle dobroci, bo jestem zła, niewdzięczna... Żeby pan wiedział, ile ja złego zrobiłam ludziom, którzy mnie kochali i byli dla mnie tacy, że już lepszymi być nie można..

W tym zapale samooskarżenia, była tak piękną, że Rzęśniewski nie mógł oprzeć się myśli:

— Do licha, co za prześliczna dziewczyna! Choć człowiek ma łysinę i dzieci pięcioro i co innego w głowie, ale doprawdy, bezpieczniej będzie tę pupilkę powierzyć żonie... No, ale ten Zarnicki musiałby chyba być manekinem bez krzty woli i bez kropli gorącej krwi, żeby sobie pozwolił podsunąć tę żółtą, suchą tykę, Masławską, zamiast takiego uroczego kwiatka...

Głośno zaś powiedział:

— Wiem o wszystkiem, panno Józiu!... Pan Konrad mi powiedział... Trudno, co się stało, nie odstanie się, a serce nie sługa... Niech się pani nie martwi, wszystko będzie dobrze...

Józia pokręciła głową, wyrażając w ten sposób swoje smutne powątpiewanie.

— No, jesteśmy w domu. To moja chałupa. Oho! Żona wygląda przez okno i dziwi się, co to za gościa prowadzę...

Stanęli przed małą drewnianą willą z oszkloną werandą. Lekarz popchnął furtkę i usunął się, robiąc Józi miejsce.

— Proszę, niech pani idzie... Jadwisiu! — wołał na żonę.

Ale pani doktorowa sama już zbiegła ze schodków werandy, zaciekawiona, kim jest ta piękna, młoda dziewczyna, którą jej mąż prowadzi.

Doktorowa Rzęśniewska była to kobieta trzydziestokilkoletnia, przywiędła i mizerna, trochę jakby chorowita, czy znużona. Miała ona jedną z tych twarzy, które w wiośnianych latach dziewczęcych polne róże przypominają, ale więdną nadzwyczaj szybko.

Z całej dawnej biało-różowej urody pozostały jej oczy jasno błękitne, jak niezapominajki, o wejrzeniu miłem i łagodnem.

Józia na pierwszy rzut oka uczuła do niej sympatyę i zaufanie. Odetchnęła lżej. Tak bardzo obawiała się, aby nie zobaczyć kogoś w rodzaju pani Zarnickiej.

— Moja Jadwisiu — zaczął doktor — przedstawiam ci pannę Józefę Maliniewiczównę z Krakowa, narzeczoną mojego pacyenta, pana Zarnickiego. Pani zabawi w Zakopanem czas jakiś... Ponieważ mamy pokój wolny, zaproponowałem, aby panna Józefa u nas zamieszkała...

Błysk zdziwienia przemknął w oczach doktorowej. Nie było dotychczas nigdy mowy o tem, aby mieli odnajmować pokój... Intuicyą kobiecą wyczuła coś niezwykłego. Nie okazała jednak nic po sobie i odkładając na później wszelkie zapytania, wyciągnęła z uprzejmym uśmiechem rękę do Józi.

— Bardzo mi miło... Proszę, niech pani pozwoli dalej!

Józia zarumieniła się i zmieszana, zakłopotana zaczęła nieśmiało:

— Ja państwu robię kłopot... Doprawdy, nie chciałam...

— O tem potem, co pani chciała, lub czego pani nie chciała — wpadł jej w mowę doktor, chcąc przerwać przedwczesne wynurzenia. — No, chodźmy! Nie będziemy przecież godzinę stać przed domem...

Wdzięk Józi ujął panią Rzęśniewską, a jej widoczne onieśmielenie, oraz ślady łez i znużenia na tej ślicznej twarzy dziewczęcej, wzruszyły dobrą i wrażliwą z natury kobietę.

Cieplej już, serdeczniej powtórzyła zaproszenie:

— Proszę pani.. tutaj do pokoju... Przedstawię pani moją dziecíarnię — dodała z zadowoleniem i dumą matki, dla której świat cały streszcza się w jej dzieciach.

Najstarsza, dziesięcioletnia dziewczynka, biało-różowa blondyneczka, podobna do matki, dygnęła przed Józią. Młodszy od niej trochę braciszek szurnął zamaszyście nogami i usiłował nakłonić do tego samego chłopca, który schował się do kąta i stanowczo wzbraniał się dopełnić obowiązku przywitania.

— Waciu! Dlaczego jesteś niegrzeczny? Przywitaj się z panią! Fe, taki duży chłopak i taki dzikus — strofowała go matka.

Wacio przyparł się plecami do ściany, ustka wydął w podkówkę i nie chciał ruszyć się z miejsca. Zato śliczne, trzyletnie bobo podbiegło do Józi, wyciągając drobne rączęta i nadstawiło do pocałunku różową buzię.

— Ach, co to za dziecko! Takie wesołe! Nikogo się nie boi i z każdym się wita! — zaczęła się zachwycać doktorowa swoją najmłodszą.

— Rzeczywiście śliczny, słodki, rozkoszny dzidziuś! — zawołała zupełnie szczerze Józia, która bardzo lubiła dzieci.

— Waciu, nie wstyd cię, że Jadzia, chociaż malutka, grzeczniejsza od ciebie?

— Daj teraz spokój Wackowi — wtrącił mąż. — Pozwól ze mną, mam ci coś do powiedzenia... Panno Józefo, proszę się rozgościć... Niech pani zdejmie płaszczyk i czapkę. Ot, tak... dobrze... Jadwisiu!

W sąsiednim pokoju ozwał się płacz niemowlęcia.

— Zaraz, mój drogi... W tej chwili... Sławuś płacze...

— Nic mu nie będzie! Jest przecież niania przy

nim. Chodź, proszę cię, bo muszę ci kilka słów powiedzieć...

— — — — — — — — — — — — — —

— Ależ, to okropne! — załamała ręce doktorowa, wysłuchawszy opowiadania męża.

Na jej drobnej, okrągłej, przywiędłej twarzy ukazał się wyraz przerażenia.

— Taka młoda!... Ileż ma lat?

— Skądże wiedzieć mogę? Nie widziałem przecież jej metryki.

— Ośmnaście chyba... no, dziewiętnaście to już najwyżej!... I coś takiego!... Na dwa tygodnie przed ślubem, powiadasz?! Ależ to skandal niesłychany! Szaleństwo nie do wybaczenia!... I ktoby przypuścił! Taką potulną, niewinną ma minkę...

— Nie sądźmy jej zbyt surowo! Że czyn to był szalony i kompromitujący, nie przeczę, ale nie znamy warunków jej życia i wychowania. Jedno ją przytem tłumaczy: miłość dla Żarnickiego... Ona nie o sobie, ale o nim myślała...

— Tak! Miłość wiele rzeczy usprawiedliwia... zawsze jednak... Aż mnie strach zdejmuje, kiedy sobie pomyślę, że która z moich dziewczynek mogłaby kiedyś zrobić coś podobnego...

— Proszę cię, Jadwisiu, bądź dla niej dobrą!... Żarnicki tak serdecznie o to prosił... Zawiniła, ale przez miłość i brak zastanowienia. To musi być natura żywiołowa, temperament gorący, którego widocznie nikt nie umiał należycie ująć w karby... No, biedna dziewczyna, miała ona za swoje... Pani Żarnicka nie przyjęła ją cukierkami...

— Jak, jak? Co było? — pytała doktorowa, a oczy jej ciekawością rozbłysły.

— Co jej tam mówiła, tego nie wiem, w każdym razie odgadnąć łatwo, że rzeczy więcej niż nieprzyjemne... Nadszedłem właśnie wtedy, kiedy ją zupełnie niedwuznacznie wyrzucała za drzwi... Powiadam ci, wyglądało to biedactwo wtedy, że litość brała... Gdyby nie moja energiczna interwencya, nie byłaby jej Żarnicka pozwoliła widzieć się ze swoim synem.

— No, wiesz, trudno się dziwić matce... Zwłaszcza wobec tych projektów z Masławską... Toż on podobno jest z panną Masławską po słowie. No i cóż teraz będzie? Jak myślisz?

— Bo ja wiem. Żarnicki byłby łajdakiem i skończonym niedołęgą, gdyby teraz uległ matce...

— A czy on tę panienkę kocha istotnie?

— Sądzę, że tak... Tęsknota za nią przyprawiała go poprostu o rozstrój nerwowy. Jeżeli obecnie prędzej zacznie zdrowieć, to będzie w znacznej mierze zawdzięczał temu, że panna Maliniewicz kocha go i jest tak bardzo nierozsądną...

— Ale jak ona mogła z taką miłością w sercu wychodzić za innego?... To nieuczciwie!... I pocóż się tak spieszyła?... Taka młoda?...

— Na to nie mogę ci odpowiedzieć, bo sam nic nie wiem... Najlepiej, wybadaj ją sama tak delikatnie, po kobiecemu... Ta dziewczyna robi na mnie wrażenie bardzo szczerej, nawet zanadto szczerej.

— Żal mi jej... Ona jest milutka i bardzo, bardzo ładna... Ale my jej przyjąć do siebie nie możemy...

— Dlaczego?

— Bo jej ojciec słusznie może zrobić nam awanturę... Niepełnoletnia... takie dziecko... Nie możemy jej ukrywać... I ta niewyraźna, fałszywa pozycya... Ona przecież narzeczoną Żarnickiego nie jest i kto wie, czy nią zostanie. Żarnicka, bardzo energiczna i stanowcza, a o panu Konradzie sam mówiłeś, że dobry chłopak, ale rozpieszczony mamin synek.

— Jadwisiu, więc dlatego wypędzisz tę biedną dziewczynę, która najprawdopodobniej nie ma nawet pieniędzy na wynajęcie gdzieindziej mieszkania. Wyrzucisz ją na ulicę?...

Doktorowa spuściła oczy i zawahała się z odpowiedzią...

— Pomyśl! Wspominałaś o naszych córkach... Przysłowie niemieckie powiada: „Wer hat Kinder in den Wiegen, der soll lassen die Leute zufrieden". A gdyby tak kiedy!... Jadwisiu! Ta dziewczyna jest młoda... ładna... niedoświadczona... bez grosza... bez opieki... bez dachu... Gdzie ona teraz pójdzie?... Co się z nią stanie?... Zaręczam ci, że Żarnicka nie zaopiekuje się nią... A gdyby tak jakieś nieszczęście... Zapytaj swojego serca o radę...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Włodzimierz Sulima Popiel

Gasnące promienie.

Orski leżał długo bez ruchu, twarzą obrócony do ziemi.

Kiedy ocknął się z omdlenia, podniósł z jękiem głowę, oparł ją o grudę ziemi, i oczy — jakby mgłą zaszłe — począł wytężać przed siebie. Opodal dojrzał kilku towarzyszów; jedni z nich byli już martwi, inni poruszali się jeszcze, jęczeli zdławionym głosem i wołali o pomoc.

A w dali huczały działa ponurym basem i warczały karabiny.

U stóp wzgórza, niby śnieżne całuny, wlokły się dymy — jak długie, poszarpane płachty — nad ziemią, na której spełniała się wielka ofiara, na cześć straszliwego Boga wojny... W powietrzu czuć było zapach krwi, a słońce, patrzące przez mgliste welony — jakby przez łzy — chowało daleko za lasami swoją czerwoną, gorejącą głowę.

Orski patrzał i myśli, rozpierzchłe w głowie, poczęły się zwolna skupiać.

Przypomniał sobie teraz dobrze, jak z falą całą, z bagnetem w ręku, szedł zdobywać nieprzyjacielskie okopy, jak szedł z towarzyszami na pewną śmierć, wśród grada kul, który coraz bardziej przerzedzał atakujących. Z oczu bił im żar, jakiś dziki obłęd. Żaden nie myślał o tem, że za moment może zwalić się trupem na ziemię, a towarzysze stratują go nogami, że może już ostatni raz to ukochane słońce świeci mu dzisiaj nad głową, że nie ujrzy więcej swoich rodzinnych, ukochanych stron...

Wszyscy wytężali tylko wzrok przed siebie, w ten szary, podłużny wał, z poza którego wykwitały białe obłoczki dymów, a który mieli zdobyć za cenę własnej krwi.

Bo rozkaz był: wziąć nieprzyjacielskie okopy...

A ten ich szalony atak, wśród krzyków, tupotu nóg, szczęku broni, huku armat i jęków upadających, wydawał się być jakąś straszliwą muzyką, wygrywającą poległym ostatnie, żałobne pienia...

W połowie drogi do nieprzyjacielskich okopów, zachwiał się Orski i padł piersiami na ziemię. Ciężką chmurą przewalili się po nim towarzysze i pomknęli naprzód... A on został...

Został, bo zwaliwszy się na ziemię, jak drzewo podcięte, uczuł w głowie zamęt myśli, duszność wielką i dławienie w gardle. Kilka razy zachłysnął się powietrzem, rękami chciał chwycić się za piersi, ale sił już nie miał.

Wreszcie omdlał...

Jak długo tak leżał, nie wiedział.

Teraz, kiedy się obudził z tej martwoty, poczuł dopiero, że w piersiach ma piekącą ranę, że od skrzepłej krwi stwardniała mu koszula i przylgnęła do ciała. Z ust sączyła mu się krew, która cienką nitką spływała po brodzie, kroplami spadała i wsiąkała w ziemię...

Podniósł nieco głowę, na ręce się oparł i sycząc z bólu, spojrzał w bok...

O krok zaledwie od siebie dojrzał szarą czapkę z legionowym orzełkiem, a z pod daszka szeroko rozwarte oczy, tak dobrze znane, jasne, sarmackie oczy najmłodszego z kolegów obozowych.

— Stach... żyjesz?... — ozwał się Orski do młodego towarzysza.

— Wnet... skończę... — odpowiedział chłopak chrapliwym, urywanym głosem, jakby dławiły go te niewypłakane łzy za ukochanym domem.

Twarz miał białą jak papier, że kropli krwi w niej widać nie było. Pierś falowała mu ciężko, usta chciwie chwytały powietrze i drgały, jakby w wielkiej, błagalnej modlitwie.

— Stachu... co tobie?... Jak się czujesz?.. — ozwał się znowu Orski, widząc towarzysza, pasującego się z życiem.

— Źle... W oczach już się mroczy...

— Jeszcze chwilę... Wnet nasi przyjdą i pomoc dadzą...

— Słabo mi... Nie dotrwam już...

Orski z wielkim wysiłkiem usiadł. Pociemniało mu w oczach, ale nie poddał się jeszcze własnym bólom, tylko syknął, zęby zacisnął i począł szukać koło siebie. Znalazł manierkę. Nie była całkiem próżna. Przysunął się do Stacha i do ust jego nacynie przytknął.

Chłopak pił chciwie, krztusił się i dławił, a kiedy już manierkę wypróżnił, głęboko odetchnął, zwisła mu głowa i oczy przymknął.

— Nie dobrze mi... — szepnął cicho.

Orskiego dziwny dreszcz przeszedł wzdłuż kręgosłupa. Ledwie, że zdołał utrzymać się siedząco. Omdlewały mu ręce, na których się podpierał, w piersiach paliło ogniem, a przed oczyma migotały ciemne płatki — jak czarne płatki śniegowe. Przemógł się jednak nieco, wysilił i przysunął bliżej do rannego Stacha. Wziął głowę jego w dłonie i oparł ją na swoich kolanach.

Manierka była jednak już próżna. Ani kropelki, aby otrzeźwić biedaka. Począł mu więc rozcierać skronie i chłodne naczynie przykładać do czoła.

Ale Stach opadał na siłach z każdą chwilą. Zamknął oczy i pogrążał się w coraz większem omdleniu. Rana pod samem uchem broczyła silnie krwią, chociaż Orski zatykał ją szmatką, udartą z rękawa koszuli.

— Stach... słysz... słabo ci bardzo?... — pytał troskliwie towarzysza, patrząc mu niespokojnie w twarz, która powoli przybierała kolor wosku.

Chłopak w odpowiedzi podniósł cię kie powieki.

— Odejdę wnet od was... — szepnął cicho.

— Nie mów tak, Stach... nie mów... — począł go otulać prawie ze łkaniem Orski, czując dreszcz na wspomnienie o śmierci ukochanego druha.

— Będziesz żyć... będziesz!... — pocieszał go dalej — Przyjdą wnet nasi i pomoc nam dadzą...

Spojrzał w stronę okopów. Bitwa wrzała tam jeszcze. Tokowisko strzałów karabinowych słabło wprawdzie, ale armaty pomrukiwały ciągle niskim basem, a biały obłok dymów wlókł się nad ziemią, jak potargana płachta.

— Stach... obudź się.. Stach!.. — wołał znowu Orski słabym głosem, czując, że i jemu poczyna się w głowie mącić, a słabe i tak siły opuszczają go zupełnie.

Ale chłopak miał już oczy silnie przymknięte i poruszał spieczonemi wargami, jakby modlił się o śmierć szczęśliwą.

Nagle drgnął, podniósł zwolna powieki i spojrzał na Orskiego smutnemi oczyma, świecącemi jak dwie gasnące lampy.

— Ja umrę już... czuję to... — począł ledwie dosłyszalnym głosem — W tornistrze jest kartka, którą pisałem do matki... oddajcie do wysyłki i donieście jej, żem padł... żem zginął, jak mój dziad od kuli w powstaniu... że...

Głos przygasł mu się łamać, a z gardła rwały się już tylko jakieś niewyraźne, urywane szepty. W zmętniałych oczach pokazały się dwie duże, jasne łzy, które jak perły stoczyły się po policzkach.

— Pacierz mówcie... — szepnął wreszcie z ogromnym wysiłkiem i czkawka poczęła go dławić.

Orski, na pół już przytomny, pochylił się nad umierającym i począł odmawiać słabym głosem:

— Ojcze nasz... któryś jest...

Ale słowa mu się myliły, więc przerywał chwilami, jakby myśli skupiał.

— Bądź wola Twoja... — wyszeptał jeszcze, na moment przewinęły mu się przed oczyma wizye legionowych kolumn, wiele znajomych twarzy, jakieś głębokie, modre oczy, wreszcie stracił wszelką świadomość i osunął się omdlały na umierającego Stacha.

Daleko za lasem, rozciągającym się szeroko, jak skrzydła olbrzymiego ptaka, gasły właśnie ostatnie promienie zachodzącego słońca.

— — — — — — — — — — — — —

Mrok zapadł.

Umilkły całkiem strzały i spokój wokoło zapanował. Tylko sanitaryusze - jak robocze pszczoły — uwijali się po pobojowisku, rozbiegali się w rozmaitych kierunkach, pochylali nad rannymi, którym zakładali konieczne opatrunki i zabierali ich na nosze, a tych, którym serca bić już przestały, znosili w jedno miejsce i gotowali im wspólny grób na spoczynek wieczny.

Geste cienie pokładły się na ziemię.

Na niebo wypływał księżyc ogromny, czerwony, cały jakby we krwi skąpany. Czem wyżej wznosił się ku górze, tem bardziej bladł, jakby z grozy, jaka przejmowała go na widok strasznego pola śmierci.

KONIEC

Kobiety piotrkowskie — Legionistom.

Piotrkowska Liga Kobiet Pomocy wojskowej, zostająca pod przewodnictwem p. Heleny Trzcińskiej, choć w nader trudnych warunkach, dobitnie zaznacza swą działalność. Poza różnemi świadczeniami, niosącemi ulgę i pomoc naszym żołnierzom w polu, czy w przejeździe znajdującym się w Piotrkowie, jedną z jej poważniejszych czynności jest niesienie pomocy Legionistom, leczącym się w szpitalu.

W rezerwowym szpitalu Czerwonego Krzyża w Piotrkowie znajduje się zwykle kilkunastu, a często kilkudziesięciu Legionistów. Kierownikiem szpitala jest dr. J. Opolski, jego pomocnikiem dr. J Zaorski. Gorliwą opieką, wyrozumieniem dla chorych i taktem lekarze ci zasługują na serdeczną wdzięczność chorych.

Sekcya szpitalna Ligi Kobiet P. W, zostająca pod kierownictwem p. Frejlichowej, ma nader trudne, lecz wdzięczne pole do działania. Jaką ulgę przynosi Liga Kobiet choremu żołnierzowi, prawie z reguły nie mającemu w danej miejscowości ani rodziny, ani znajomych, ten tylko może poznać i ocenić, kto znalazł się chorym w szpitalu, w obcem mieście.

Chorzy Legioniści w piotrkowskim szpitalu, poza materyalną pomocą od Ligi Kobiet, jak otrzymywaniem pół kwarty codziennie mleka i za zezwoleniem lekarza, papierosów, czy też słodyczy, doznają też opieki moralnej; otrzymują książki, pisma illustrowane i dzienniki. Oprócz tego sama świadomość chorego, że poza szpitalem znajduje się ktoś, co opiekuje się nim, przynosi mu wielką ulgę.

Wśród Legionistów tak wielu jest młodzieniaszków, którzy co dopiero wyszli z pod opieki rodziców. Gdy taki znajdzie się w szpitalu obcego mu miasta, przypomina mu się rodzina i pragnie jakiejś cieplejszej atmosfery. Byłem świadkiem, leżąc w szpitalu, następującej sceny:

Na łóżku leży młodziutki Legionista, pochodzi gdzieś ze wschodniej Galicyi, z miejscowości, zajętej obecnie przez Moskali. Chłopak zupełnie odcięty jest od rodziny, pozbawiony nawet piśmiennego porozumiewania się z najbliższymi. Przy nim siedzi jedna z pań piotrkowskich, wypytuje się pieszczotliwie chorego o szczegóły jego życia i choroby, pociesza go, wreszcie całuje w czoło. Wzruszony młodzieniec całuje ją w rękę i łzy płyną mu z oczu.

— A czegóż to płaczecie, obywatelu?

— Bo, proszę pani, tak mi jakoś miło! Zdaje mi się, że to moja mamusia siedzi przy mnie!...

— Dzieciuchu kochany! Toć my wszystkie Polki dla was matkami, nie płaczcie, i z mamusią się zobaczycie!

— Tak, ale tymczasem nie mam mamusi, a pani taka dobra. Niech pani przyjdzie też jutro do mnie...

Podobnych scen jest więcej. Może nawet panie, odwiedzające chorych, nie zdają sobie sprawy, jak wielką im ulgę przynoszą, choćby tylko ciepłem, czułem słowem. W chaosie wojennym często niedoceniamy, jak wielką rolę samarytańską spełniają



Kobiety piotrkowskie — Legionistom: W szpitalu legionowym w Piotrkowie. W środku siedzą: dr. J. Opolski i dr. J Zaorski.



Z frontów bojowych: Dowóz żywności do okopów nad Soczą.



Z frontów bojowych: Obwarowania niemieckie w skalistym terenie w Wogezach.



Z frontów bojowych: Pozycya austryacka na północnym froncie, chroniona zasiekami z drutu kolczastego.

raport w kompaniach, batalionach i w komendzie pułku. Od 12—2 po południu obiad. Od 2—3 ćwiczenia w polu. Od 3—6 wykłady w koszarach, prowadzone przez oficerów legionowych i instruktorów niemieckich. Od 6—7 wieczorem naprawa żołnierskich rzeczy, umundurowania i t. d. O godzinie 7 kolacya. Od 7—9 wolne, o godzinie 9 układanie się do snu.

Na skreślonym wyżej programie żołnierskiego dnia nie kończy się bynajmniej szeroki program prac, jaki już w Dęblinie wprowadzono w życie. Złożyły się nań bardzo liczne szkoły. W obozie ćwiczeń w Dęblinie powstały następujące:

1) szkoła oficerska wyższa;
2) szkoła oficerska niższa;
3) szkoła podoficerska liniowa;
4) szkoła telefoniczna;
5) szkoła pionierska;
6) szkoła oficerska administracyjna;
7) szkoła podoficerska administracyjna.

Z dniem 15 stycznia rozpoczęły one funkcyonować i są w pełnym toku. Wypada je bliżej omówić. Do szkoły oficerskiej wyższej uczęszczają wszyscy porucznicy, podporucznicy i niektórzy chorążowie. Wykładają w niej oficerowie niemieccy, oraz starsi szarżą oficerowie legionowi.

Do szkoły oficerskiej niższej przeznaczono 90 żołnierzy i podoficerów, oraz kilku oficerów, którzy dawniej na etacie sztabowym awansowali, a teraz przeniesieni być mają do linii. Materyał, jaki do tej szkoły wszedł, nie pod każdym względem odpowiada normalnym wymaganiom. Trzymano się jednak za-





Kobiety piotrkowskie — Legionistom:

Odwiedziny towarzyszów w szpitalu dla Legionistów w Piotrkowie.

Jedna z sal szpitala dla Legionistów w Piotrkowie.

nasze Polki, zorganizowane w Lidze Kobiet, niosącej pomoc żołnierzom polskim. Kiedyś historya nie pominie tych zasług.

Nadmienić jeszcze należy, że Liga Kobiet w Piotrkowie, zostająca pod przewodnictwem p. Trzcińskiej, utrzymuje herbaciarnię dla Legionistów, zaopatruje ich w bieliznę, a w razie śmierci Legionisty zajmuje się pogrzebem i nabożeństwem za zmarłego.

Jan Sutorowski, Leg. Pol.

Praca przygotowawcza w Legionach.

Gdy pomiędzy Radą Stanu a władzami okupacyjnemi toczą się obecnie układy w sprawie organizacyi polskiej armii narodowej, w Legionach polskich, które mają być kadrami tej armii, wre gorączkowa praca przygotowawcza. Jeden z takich obozów ćwiczeń, w których Legioniści 6 pułku kształcą się na instruktorów przyszłej armii polskiej, znajduje się w Dęblinie. Pracę w tym obozie, która niewątpliwie daje pojęcie wogóle o działalności wszystkich oddziałów legionowych w obecnym przełomowym okresie, opisuje barwnie Legionista, p. Augustyński.

Oficerowie i żołnierze — pisze — wyrzekali początkowo na dębliński „kryminał“. Wkrótce przecież ciągła nauka i praca zajęła im czas całego dnia, tak dalece, że zabrakło bogdaj chwili na... nudzenie się. Przeciwnie, brakować może czasu na spełnienie wszystkich obowiązków, jakie tu na pułk nałożono. Oto, jak rozłożony jest dzień żołnierza i oficera w dęblińskim obozie ćwiczeń:

O godzinie 6 rano pobudka. Od 6—7 śniadanie, ubieranie się, mycie. Od 7—8 apel, gimnastyka, przegląd broni. Od 8—11 ćwiczenia w polu. Od 11—12



Kobiety piotrkowskie — Legionistom: Legioniści w szpitalu Czerwonego Krzyża w Piotrkowie w otoczeniu członkiń sekcyi szpitalnej Ligi Kobiet Pomocy Wojskowej z przełożoną Frejlichową (X) i drem J. Zaorskim (XX).

sady, iż do szkoły przyjmować należy jak najwięcej ludzi, aby potem można było wybrać stosownych do stopnia oficerskiego kandydatów. W zasadzie ze szkoły tej wyjść mają zastępcy oficerów, nie jest jednak wykluczonem, iż wielu wyjdzie w podoficerskiej tylko szarży.

Komendantem tej szkoły jest kapitan Gigiel, wykładają w niej oficerowie legionowi, a w części niemieccy.

Szkołę podoficerską liniową rozłożono po batalionach. W batalionie pierwszym uczęszcza do niej 46 żołnierzy, w batalionie drugim 40, w batalionie trzecim 40. Cyfry mówią, że szkoła ta zakrojona jest szeroko i że wyda liczny, a jak można oczekiwać i wzorowy korpus podoficerski. Komendantem tej szkoły jest kapitan Jan Jakubowski.

Szkołę pionierską prowadzi porucznik Pomirski, szkołę telefoniczną chorąży Swinarski.

Wreszcie szkoły administracyjne: oficerska (ograniczona co do liczby kandydatów) i podoficerska, których komendantem jest oficer rachunkowy, podpor. Sierpniewski, pracują pełną parą, a mają za cel zapoznanie uczących się z zasadami niemieckiej gospodarki wojennej, która jest o wiele prostszą i praktyczniejszą, aniżeli skomplikowana administracya i rachunkowość austryacka.

Wszystkie szkoły funkcyonują w godzinach popołudniowych, tak, że uczestnicy ich nie tracą możności praktycznego ćwiczenia w polu, które odbywa się przed południem. Pierwiastkowa nawet musztra — od austryackiej z gruntu różna — wymaga, aby uczestniczyli w niej możliwie wszyscy żołnierze, podoficerowie i oficerowie. Od formy stania na baczność aż do noszenia karabinu, od salutowania aż do robienia zwrotów, obrotów i czwórek, wszystko jest nowe. Nawet krok marszowy — do dotychczas stosowanego niepodobny.

Więc — praca w obozie jest ogromna, wymaga wielkiego natężenia sił, zajmuje czas wszelki, a idzie od podstawy każdej większej formacyi wojskowej — od kompanii.



Praca przygotowawcza w Legionach: Szkoła administracyjno-gospodarcza.

Wewnętrzne urządzenia kompanijne w wojsku niemieckiem różnią się od systemu, w armii austryackiej stosowanego.

Rzucony tu w grubych liniach obraz twórczej i wielkiej pracy, prowadzonej w obozie ćwiczeń, daje pojęcie o jej ogromie.

Obraz obozu ćwiczeń w Dęblinie byłby niezupełny, gdyby nie wspomniano o tak zwanej kompanii rekrutów (jest ich na razie przeszło pięciuset), którzy wszystkie ćwiczenia przechodzą osobno i odrazu na modłę niemiecką, a według ogólnego, wyżej podanego rozkładu prac i zajęć. Liczba rekrutów wciąż wzrasta, jakkolwiek dotąd do szeregów wojska polskiego tylko ci byli wcielani, którzy poszczególnym oficerom werbunkowym objawili chęć natychmiastowej służby. Wielu z nich jeszcze w ubraniach cywilnych odbywa musztrę, wkrótce jednak nastąpi umundurowanie ich i przekształcenie w rzeczywistych żołnierzy.

Wspomnieć wreszcie należy o tak zwanej komendzie stacyi, czyli komendzie placu w obozie ćwiczeń. W zakres jej działania wchodzą sprawy kwaterunkowe (urządzenie mieszkań i baraków, opał, światło), czuwanie nad porządkiem całego obozowego rejonu, nawiązanie kontaktu z ludnością cywilną i t. d. Komendantem stacyi — jest kapitan Bolesław Popowicz, który, pełniąc te same funkcye w Nałęczowie — zyskał sobie pełną pochwałę Komendy pułku.

Nakoniec w obozie ćwiczeń rozlokowała się Ko-





Z frontów bojowych:

Wyrzucanie granatów ręcznych z austryackiego rowu strzeleckiego na rumuńskim froncie.

Karabin maszynowy do ostrzeliwania nieprzyjacielskich aeroplanów na rumuńskim froncie.



Z frontów bojowych: „Kuchnia polowa“ w rowie strzeleckim na wschodnim froncie.

menda III brygady Legionów. Komendantem brygady jest obecnie pułkownik Zygmunt Zieliński, zresztą skład Komendy brygady pozostał ten sam, a więc jest kapitan Kleeberg, podpor. Biernacki, chor. Dolais i inni.

Tak dzisiaj wygląda Dęblin. — Od świtu do nocy trwa tu regularna, ciężka praca nad tworzeniem polskiego wojska. Dziwnem zrządzeniem nemezis dziejowej — forteca, która po 1831 roku aż do niedawnych czasów — była symbolem więzienia Polski, obecnie stała się obozem ćwiczeń zawiązku armii polskiej.



Z frontów bojowych: Kościół w Peronne, zniszczony francuskimi granatami.

Z frontów bojowych.

Najważniejszem wydarzeniem militarnem ostatnich dni było zajęcie Bagdadu przez Anglików. Ocena tego zdarzenia wojennego nie jest zadaniem łatwem. Chodzi tu bowiem o wypadki na bardzo odległych i mało znanych przestrzeniach. Akcya bojowa w Mezopotamii odgrywa się niejednokrotnie wśród miejsc, których napróżno szukaćby na kartach geograficznych. Niemniej jednakże kampanii w Mezopotamii przypada ważna rola. Najlepszym dowodem okoliczność, że Anglia i Rosya zamierzały, a nawet dotąd układają sobie akcyę koncentryczną, by wejść w ziem tych posiadanie. Anglicy wyruszyli z zatoki Perskiej w kierunku północno-zachodnim, Rosyanie zaś prą od północnego wschodu, z Persyi. Wiadomo, że Turcy dotychczas z jak największą energią i bardzo skutecznie powstrzymywali gwałtowny nacisk wojsk angielskich, które miały nakaz za każdą cenę zawładnąć stolicą Mezopotamii. Rosyanie przebywają w Persyi jeszcze daleko, zajęli dopiero Hamadan, dobrowolnie opuszczony przez Turków, a znajdujący się w odległości 450 kilometrów od Bagdadu. A więc jeszcze siedm gór i siedm rzek oddziela kooperujące siły angielskie i rosyjskie.

Okoliczność, że Anglicy potrzebowali na zdobycie Bagdadu tak długiego czasu, przeszło roku, już sama wystawia jak najchlubniejsze świadectwo sprzymierzeńcowi mocarstw centralnych, państwu tureckiemu. Dowiodły wojska jego w ciągu wojny niejednokrotnie, jak dzielnie umieją pasować się z trudnościami, jak świetnie męstwo ich zaznacza się przy każdej sposobności. Turcya odparła potężną ekspedycyę koalicyi na Gallipoli; główne swe siły ustawiła na Kaukazie, utrzymuje też straż na półwyspie synajskim, walczy po obu stronach Dunaju, w Macedonii, nawet w Galicyi. Turecka siła zbrojna musi na frontach pozaeuropejskich pokonywać niezmierne przestrzenie, które to zadanie z powodu braku komunikacyi tem większe przedstawia trudności. Zwłaszcza teren Mezopotamii przedstawia się pod tym względem bardzo niekorzystnie. — Dość zaznaczyć, że operacyjna linia Bagdad—Kut-el-Amara nie miała do rozporządzenia drogi kolejowej. Łatwo sobie wyobrazić, co to znaczy dla wojska operującego, zwłaszczaw o kolicy o pustynnym przeważnie charakterze.

O wiele korzystniej przedstawia się linia etapowa angielska, która od zatoki perskiej do Kut el Amara ma nie więcej nad 300 kilometrów długości, a dysponuje spławnymi odcinkami rzek Tygrysu i Eufratu. Ponadto wspomagają Anglików łodzie kanonierskie, holowniki i transportowce, jakoteż kolejki polowe.

Mimo wszystko Turcy przez czas długi zbierali tu sukces po sukcesie. Dnia 29 kwietnia 1916 r. musiał angielski generał Townshend z 13 000 ludzi kapitulować. Nastąpiła potem przerwa, wśród której Anglicy ściągnęli ogromne posiłki pod wodzą generała Mauda. Niewątpliwie też udoskonalone i pomnożone zostało ich techniczne wyposażenie. Przysposobiwszy się gruntownie, wznowili Anglicy swe ataki z końcem grudnia 1916 r. W styczniu b. r. doszły one do wysokiego stopnia gwałtowności i wzmagały się jeszcze. Dnia 25 lutego opuścili Turcy Kut-el-Amara i rozpoczęli odwrót w kierunku górnego biegu Tygrysu.



Maryla Rola Rakowiecka.

Od tej chwili los Bagdadu uważać należało za przypieczętowany. Upadek siedziby dawnych kalifów był nie do uniknięcia.

Jaką wagę militarną może mieć owo zdarzenie, orzekną znawcy zawodowi. W każdym razie front mezopotamski leży zbyt daleko poza głównemi ogniskami wojny światowej, by zdołał oddziałać na sytuacyę wojenną w Europie.



Z frontów bojowych: Zakładanie rannym żołnierzom pierwszego opatrunku na polu bitwy.

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku"

Tłumaczyła: Marya Segeny.

7

Był szeroki w ramionach, cerę miał ciemną, usta napół zakryte gęstym wąsem. Nie we wszystkiem jednak odpowiadał wyobrażeniu, jaki sobie Byrd wyrobił o siostrzeńcu pani Clemmens. Wyraz twarzy nie był tak energiczny i pewny siebie, wzrok nie tak bystry. Przytem szeroki płaszcz gumowy, okrywający młodego człowieka, nie dozwolił Byrdowi sprawdzić jego ubrania.

Na wszelki wypadek Byrd postanowił śledzić młodego człowieka i pójść za nim nawet do jego mieszkania, aby się dowiedzieć, kim był.

Ale wkrotce fałszywa taktyka, którą obrał ze zbytku ostrożności, wytrąciła go z zamierzonego planu. — Byrd stracił zupełnie młodego człowieka z oczu. Nie pozostało mu nic innego, jak udać się do dozorcy fabryki i tam zasięgnąć wiadomości o Cyrylu Morganie.

Powiedziano mu, że młody człowiek mieszkał w pensyonacie i wskazano ulicę.

Byrd skierował się tam natychmiast. Szczęście sprzyjało mu, bo właśnie w pensyonacie znajdował się jeszcze jeden wolny pokój, który właścicielka, stara, poważna dama, odnajęła mu chętnie.

-- Doszedłem już po części do celu — myślał Byrd, ubierając się do obiadu. — Teraz pozostaje do wyjaśnienia, czy ten młody człowiek, którego widziałem przed chwilą, jest rzeczywiście Cyrylem Morganem i bohaterem z poczekalni w Syrakuzie. Mam przeczucie, że ci trzej panowie stanowią tylko jedną osobistość.

Kiedy zeszedł do sali jadalnej większa część gości znajdowała się już przy stole. Pomiędzy nimi Byrd ujrzał z wielkim zadowoleniem nieznajomego z fabryki.

— Pierwsze zwycięstwo — pomyślał.

Po chwili spostrzegł, że młody człowiek obserwował go uważnie i dyskretnie. Odkrycie to podwoiło jeszcze jego radość.

— Zapewnie spostrzegł, że śledziłem go — pomyślał detektyw — a teraz dałby wiele, żeby się dowiedzieć, kto jestem. Ponieważ dosyć dobrze umiem nosić smoki gowe ubranie. nie może się domyśleć, że należę do policyi, ale pomimo to jest niespokojny, co wskazuje, że nie ma czystego sumienia.

Cichy monolog Byrda został niespodziewanie przerwany wykrzyknikiem jednej z kobiet, siedzących przy stole.

— Oh! Jak pan późno przybywa, panie Morgan! Jesteśmy już przy pieczystem!

Większa część zebranych zwróciła się do nowoprzybywającego. Byrd uczynił to samo, silnie zaciekawiony. Już teraz nie mógł wątpić, że ma przed sobą osobistość, opisaną tak dokładnie przez młodego handlowca.

Siostrzeniec pani Clemmens, rzeczywiście dziwnie podobny do nieznajomego, ujrzanego przez Byrda przy wyjściu z fabryki, ale o ileż wyraz jego twarzy był energiczniejszy i męski!

— To człowiek, który łatwo mógł uledz chwilowemu podnieceniu — kombinował detektyw — Gwałtowny jest, porywczy, ale nie podły, ani wyrachowany egoista. Jeśli to on zamordował panią Clemmens pod naciskiem chwilowego obłędu zmysłów, to musi teraz tego gorzko żałować.

Byrd jednak, pomimo, iż przyznawał Cyrylowi Morgan pewne zalety charakteru, nie pomyślał ani na chwilę o porzuceniu nakreślonego sobie zadania. Nie mógł dopuścić, aby Gordon Hildreth był zasądzony za winę niepopełnioną.

Jak tylko powstano od stołu, przystąpił do rozwiązania drugiej części zagadki, starając się zbadać, czy młody Morgan wydałał się z pensyonatu w dniu zbrodni. dokonanej na pani Clemmens.

Właścicielka pensyonatu, pani Hart, sama mu do tego nieświadomie dopomogła. Widząc w nowym gościu możliwego pretendenta do ręki swojej córki, Henryetty, umieściła go przy stole obok niej. — Panna Henryetta, licząca już dwadzieścia dziewięć wiosen, usilnie chciała we wszystkich wzbudzić przekonanie, że ma ich dopiero ośmnaście. Kiedy po obiedzie towarzystwo całe przeszło do salonu, znajomość między Byrdem a panną Henryettą była już rzeczą dokonaną. Byrd postanowił więc wykorzystać uprzejmość swojej towarzyszki i naprowadzić ją na drogę zwierzeń.

— Jakże miłe towarzystwo zebrało się w domu pań! — zaczął, przybierając skromną postawę — Wyobrażam sobie, jakie sympatyczne wieczory spędza się tutaj

— Oh, tak! — odpowiedziała uprzejmie panna Henryetta, mierząc Byrda kokieteryjnem spojrzeniem — Organizujemy tańce, zabawy, do których czujemy wszyscy szczerą ochotę, wyjąwszy pana Morgana naturalnie.

— Pana Morgan? Czy to ten pan, który się spóźnił dzisiaj? — zapytał Byrd, zachwycony biegiem rozmowy.

— Tak. Biedny chłopiec nosi ciężką żałobę. To siostrzeniec tej kobiety, którą zamordowano przed kilkoma dniami w Sydney. Wie pan, ta wdowa, którą napadł jakiś Hildreth i uderzył kawałkiem drzewa. Umarła, mówiąc o jakimś pierścieniu, który miała na ręce.

— Słyszałem coś o tej zbrodni. Czy to pan Morgan podzielił się z panią tymi szczegółami?

— Pan Morgan? Nigdy w życiu! Wogóle nie jest on bardzo rozmowny, a pozatem jest bardzo dumny. Wyobrażam sobie, jakby przyjął tego, któryby chciał mówić z nim o tem! Zresztą nie sądzę, aby więcej wiedział o tej sprawie odemnie lub od pana. On wcale nie był w Sydney.

— Jakto? Nie był nawet na pogrzebie swojej ciotki?

— Nie. Powiedział nam, że jest bardzo chory. Pozostał u siebie w pokoju przez dwa, czy trzy dni, nie wychodząc wcale. Mówią, że odziedziczył cały majątek po swojej ciotce. Są nawet ludzie, którym się wydaje to dziwnem, ale co do mnie..

Panna Henryetta przerwała nagle, aby obrzucić wyzywającem spojrzeniem mężczyznę, przechodzącego obok niej.

Byrd zwrócił się szybko, śledząc kierunek jej spojrzenia i ujrzał człowieka, którego pierwotnie wziął był za Cyryla Morgan.

Przepraszam panią! - rzekł, podchodząc do panny Henryetty Urządzamy szaradę i matka pani prosi. aby pani była łaskawą tem się zająć.

— Ach! Doskonale! Ale pozwólcie panowie, że was zapoznam. Pan Byrd.. pan Brown.. Mam nadzieję, że panowie obydwaj należeć będą do tej zabawy.

— Dziękuję bardzo — odparł Byrd, który widział, że nie dowie się już nic więcej — ale nie mam wprawy w grach podobnych i obawiałbym się przeszkadzać towarzystwu.

Panna Henryetta wdzięcznie skinęła głową i odeszła, wsparta na ramieniu pana Browna.

— Szczęch królowi! — szepnął Byrd, widząc, że go opuszczają bez żadnej ceremonii.

Obejrzał się po salonie i podszedł do młodej dziewczyny, stojącej przy fortepianie i przeglądającej z roztargnieniem stos nut, leżących przed nią.

— Nie widzę tego młodego bruneta, którego nazywają, zdaje mi się. panem Morganem — rzekł Byrd, po zamienieniu kilku zdawkowych frazesów.

— Nie przychodzi nigdy do salonu, szczególniej obecnie — odpowiedziała młoda dziewczyna.

— Szczególniej obecnie? — powtórzył Byrd, z lekkiem zdziwieniem.

— Dotknięty został wielką stratą.

— Doprawdy? Cóż takiego?

— Ciotka jego, pani Clemmens, została w tych dniach w okropny sposób zamordowaną.

— Gdzież to miało miejsce?

— W Sydney.

— A tak. tak, w Sydney! — przypomniał sobie Byrd — Czytałem o tem wydarzeniu w miejscowych dziennikach. A więc, ten pan Morgan. to siostrzeniec nieszczęśliwej ofiary? Ma wygląd człowieka bardzo inteligentnego.

— Och, tak! — przyświadczyła gorąco młoda panna — Inteligencyi nie brak mu wcale. Podobno nawet wynalazł niedawno jakąś nadzwyczajną maszynę. motor ulepszony dla automobilów. To bardzo zdolny inżynier.

— Panno Klaro! -- rozległ się za rozmawiającymi głos. który już dziwnie zaczynał drażnić Byrda — Potrzebuję pani do szarady. Zapomina pani, że nawet w salonie nie można pozostać bezczynną.

— Dobrze, panie Brown, idę już — odpowiedziała uległe młoda panna, rzucając na detektywa spojrzenie, pełne żalu i smutku.

— Szach drugi! — szepnął Byrd ze złością — Ten człowiek, zdaje się, uwziął się, aby mnie wyprowadzić z równowagi.

Byrd przezwyciężył jednak swój zły humor i szukał dalej sposobności rozpoczęcia rozmowy z innymi gośćmi pensyonatu pani Hart. Ale każdym razem, kiedy już rozmowa przybierała zwrot pożądany, niezmęczony Brown znajdował sposobność przerwać ją i rozerwać rozmawiających.

Byrd zrezygnował więc z dalszych badań i zapytał służącą, czyby się nie mógł zobaczyć z właścicielką pensyonatu.

— Pani znajduje się zapewne w swoim gabinecie — brzmiała odpowiedź.

Byrd udał się tam i znowu udało mu się naprowadzić rozmowę na temat pożądany. Ale, zaledwie dowiedział się od pani Hart, że pan Morgan nie znajdował się w pensyonacie w dniu morderstwa, dokonanego w Sydney — kiedy uparty Brown wszedł do gabinetu i usiadł wygodnie na kanapie, przygotowując się widocznie do dłuższej rozmowy.

Byrd pod grzecznym uśmiechem zamaskował za wód swój i rozdrażnienie. Przeklinając w duchu nie znośnego intruza, wstał i pożegnał gospodynię domu. Udał się zaraz z powrotem do salonu, ale przyszedł już za późno. Wszyscy goście rozeszli się już i powrócili do swoich pokojów.

— Niech dyabli wezmą tego Browna — zaklął Byrd. — Jestem przekonany, że umyślnie postanowił krzyżować moje plany. Muszę zaczekać do jutra, bo dziś nie dowiem się nic więcej.

Byrd zdecydował się więc udać do swojego pokoju, ale, otworzywszy drzwi z korytarza, spostrzegł, że wszedł przez omyłkę do pokoju Cyryla Morgan, swojego sąsiada.

Młody człowiek siedział zwrócony tyłem do drzwi, przed stołem, na którym znajdował się niewielki model, konstrukcyi bardzo skomplikowanej, przypominający motory, które służą do automobilów. Nie zdając się spostrzegać wejścia Byrda, siedział bez ruchu, z głową ukrytą w dłoniach, w postawie, zdradzającej wielką apatyę i zniechęcenie. Byrd byłby drogo okupił chwilę rozmowy z tym człowiekiem, którego podejrzywał o zamordowanie wdowy Clemmens. Jednakże, powodowany wrodzoną delikatnością, nie chciał wykorzystać mimowolnej swojej niedyskrecyi. Zamierzał się ostrożnie wycofać, nic nie mówiąc, kiedy drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł — Brown.

Cyryl Morgan zerwał się wówczas z krzesła. Gniewne oburzenie uwydatniało się na jego śniadej twarzy. Nie zwracając uwagi na Byrda, który tłumaczył się ze swojego najścia, pochwycił nowoprzybyłego za ramiona i, okręciwszy go, jak manekina, popchnął ku drzwiom.

— Jak pan śmie bez pozwolenia wchodzić w ten sposób do mieszkania nieznajomego człowieka?! — zawołał głosem zmienionym — Ta napaść jest obrażająca!

— Przepraszam pana stokrotnie! — oświadczył z zimną krwią Brown, patrząc spokojnie na młodego człowieka — Zdawało mi się, że wchodzę do swojego pokoju. Życzę panu spokojnej nocy.

Mówiąc to, krokiem powolnym skierował się do drzwi, rzucając Byrdowi w przelocie ironiczne spojrzenie, które zdawało się mówić:

— Sądzisz, mój mały, że jesteś bardzo zręczny, ale widzisz, że nie czujesz się na siłach do walki ze mną.

Byrd pogardliwie odwrócił się od niego i podszedł do Cyryla Morgan. Chciał raz jeszcze przeprosić go za wtargnięcie do jego pokoju, ale nagle, zdumiony, cofnął się w tył, nie wymówiwszy ani słowa.

W zaciśniętej ręce młodego człowieka ujrzał fotografię Beatryczy Darnell. Twarz jej szpeciły dwie grube atramentowe rysy, na krzyż przeciągnięte.

Po raz pierwszy w życiu Byrd nie potrafił zapanować nad ogarniającem go wzruszeniem. Lękając się, że zdradzi się nieodwołalnie, wybiegł szybko z pokoju.

W fabryce.

Byrd nie mógł zasnąć tej nocy. Ilekroć zdrzemnął się trochę, przed jego oczy występowała wyraźnie postać Cyryla Morgan, trzymającego w zaciśniętej ręce fotografię Beatryczy Darnell i odbierała ochotę do dalszego spoczynku. Pomimo wszystko, detektyw nie mógł zapanować nad pewnem uczuciem sympatyi dla tego silnego i inteligentnego człowieka, którego chwilowy obłęd umysłu zapewne doprowadził aż do zbrodni i dla którego dalsze życie miało być tylko pasmem ciężkich wyrzutów sumienia i rozpaczy.

Następnie Byrd zastanawiał się nad szczególnym uporem tego Browna, utrudniającym mu wszelką akcyę śledztwa w pensyonacie. Jakiż powód mógł mieć ten człowiek, który go nie znał wcale, do postępowania w ten sposób?

Chwilami zdawało mu się, że coś w brzmieniu jego głosu i ruchach przypomina mu niewyraźnie człowieka. którego znał dawniej, ale to wrażenie nie było konkretne i zdecydowane.

— Ah! Do dyabła z tym nudziarzem! — za-

wołał wkońcu, doprowadzony do zniecierpliwienia — Muszę jutro znaleźć sposobność do rozmówienia się z nim.

Łatwiej to było powiedzieć, niż spełnić.

Skoro Byrd nazajutrz zjawił się przy wspólnym stole w godzinie śniadania, nagła cisza, którą przyjęto jego wejście, dała mu do zrozumienia, że właśnie musiano mówić o nim i to w sposób nie bardzo widocznie życzliwy, bo przyjęto go zimno i z wyszukaną obojętnością. Po śniadaniu pani Hart poprosiła go na chwilę rozmowy i oznajmiła, nie bez pewnego zmieszania, że dawny jej gość, bardzo jej sympatyczny zresztą, zapowiedział swój przyjazd na wieczór, a ponieważ on to zajmował zawsze pokój, jemu odstąpiony, nowy jej lokator będzie zmuszony dziś jeszcze od niej się wyprowadzić.

— Przykro mi bardzo — kończyła pani Hart, unikając wzroku Byrda — ale inaczej uczynić nie mogę. Jeżeli pan sobie życzy, chętnie służyć będę poleceniem innego, znajomego mi pensyonatu.

Byrd i tym razem ukrył swoje niezadowolenie i odpowiedział uprzejmie, że nigdy by sobie nie wybaczył, aby przez niego pani Hart miała stracić stałego gościa i natychmiast opuści swój pokój.

— To robota tego przeklętego Browna! — mruczał, zamykając swój kuferek. — Ale my się jeszcze spotkamy.

Załatwiwszy tę czynność, usiadł, aby się zastanowić nad dalszym planem działania. Nie czuł się zresztą całkiem niezadowolonym. Przez jeden wieczór wykrył trzy bardzo ważne dla niego rzeczy pomimo usilnych przeszkód, nastawionych przez nieznanego przeciwnika.

Najsamprzód, że Cyryl Morgan wynalazł sposobność nie zjawienia się na pogrzeb ciotki, że młody człowiek był wynalazcą, pracującym teraz jeszcze nad skonstruowaniem nowej maszyny i że w dniu zbrodni Cyryl Morgan wydalił się z pensyonatu pani Hart.

Pozostało tylko dowiedzieć się, czy w tym czasie widziano go w fabryce. Tego wyjaśnienia mogli Byrdowi udzielić tylko dyrektorzy rafineryi. Do nich więc Byrd zamierzał się udać i odkryć w razie potrzeby, kim był i czego szukał.

Ale od tej chwili nieszczęście zaczęło go prześladować.

W rafineryi P. P. Harrison et Chamberlain, tak samo, jak w pensyonacie pani Hart, spotkał zimne i odpychające przyjęcie i niewytłumaczoną jakąś nieufność.

Kiedy zapytał o dyrektorów, odpowiedziano mu, że pan Harrison nie był obecny, a pan Chamberlain tak zajęty, że nie przyjmuje nikogo. Główny inżynier, pan Goodmann, był chory, a kasyera nikt nie mógł odnaleźć.

Wobec tak widocznej złej woli i niechęci, Byrd musiał ustąpić. Postanowił jednak jeszcze raz próbować szczęścia przy panu Goodmannie, który, nie będąc dnia tego w fabryce, mógł nie być przygotowanym tym tajemniczym wpływem, który odczuwał wokoło siebie.

Pan Goodmann przyjął go w niezbyt zachęcający sposób. Ale zły humor inżyniera mógł być wytłumaczonym silnym atakiem podagry, który na kilka dni przykuł go do fotela.

— Morgan? – powtórzył, wznosząc brwi wysoko, kiedy Byrd zapytał o młodego inżyniera tego nazwiska — A tak! Jest jakiś Morgan w naszej fabryce.

Poczem dodał, przyglądając się badawczo detektywowi:

— Czy mógłbym wiedzieć, dlaczego się pan pyta o niego?

Byrd postanowił zagrać w otwarte karty i wystąpić urzędowo.

— Bo sądzę, że pan będzie mógł udzielić mi pewnych wyjaśnień!

— Wyjaśnień o panu Morgan? Nie rozumiem.

— Wyjaśnienia te są bardzo ważne dla policyi.

— Dla policyi?

— Tak jest, proszę pana. Jestem przysłany tutaj przez prokuratora z Sydney, aby się dowiedzieć, gdzie pan Cyryl Morgan znajdował się w dniu 28. listopada.

— Otóż to jest jasne i szczere, mój panie! — zaopiniował pan Goodmann — Ale dlaczego pan się nie zwrócił do pana Morgan z tem zapytaniem? Zapewne odpowiedziałby na nie z przyjemnością.

Ton, w jakim wypowiedziane były te słowa, ostrzegł Byrda, że należy działać ostrożnie. Prawdopodobnie stary inżynier był przyjacielem Cyryla Morgan i co z samej rzeczy wynika, nie usposobiony do mówienia o jego sprawach z człowiekiem obcym.

— Nie wątpię ani na chwilę, że pan Morgan nie uchyliłby się od dania odpowiedzi — odparł Byrd grzecznie — ale ten młody człowiek jest pod wrażeniem przykrego ciosu, jaki go dotknął i nie chcę się przyczyniać do jego niepokoju. Pewna osobistość ze Sydney, której nazwiska wymienić nie mogę, pozwoliła sobie przypuścić, że pan Morgan, siostrzeniec zamordowanej pani Clemmens, był również, jak i oskarżony Hildreth, interesowany w tej sprawie. Jednemu i drugiemu w równej prawie mierze zależało prawie na śmierci pani Clemmens. Ta insynuacya oczywiście nie opierała się na żadnych materyalnych dowodach. Nie wiadomo nawet, czy pan Morgan znajdował się w Sydney w dniu krytycznym. Ale obowiązkiem policyi jest nie zaniedbywać najmniejszej poszlaki, mogącej rzecz całą wyjaśnić. Dla tej przyczyny udałem się do Buffalo. — Przekonałem się w sposób dyskretny, że pan Morgan wydalił się z domu w dniu 28-go listopada, ale to przecież nie udowadnia, że w dniu tym był w Sydney. Jestem nawet przekonany, że, przy dobrej woli pana, moglibyśmy wynaleźć korzystne alibi dla pana Morgana i nie poruszać więcej tej przykrej sprawy.

Pan Goodmann wysłuchał spokojnie przemowy Byrda, ale zachował dalej swój ton zimny i obojętny.

— Bardzo żałuję — rzekł wkońcu — ale nie mogę panu dać żadnych wyjaśnień co do mojego kolegi. Musi się pan sam z nim rozmówić.

— Czy nie wyjeżdżał w tym czasie z polecenia panów dyrektorów?

— Nie.

— Ale było panu wiadomem, że zamierza wyjechać?

— Tak.

— Wie pan, którego dnia powrócił?

— Był w biurze 29 go we środę.

Nie dając się zbić z tropu lakonizmem starego inżyniera, Byrd zaryzykował jeszcze:

— Pan Morgan jest wynalazcą, o ile mi się zdaje. Czy się mylę?

— Nie.

— Podobno opatentował motor swojego wynalazku i szuka człowieka z kapitałem, któryby się tem zainteresował?

— Zdaje się, że tak.

— Czy nie przypuszcza pan, że pan Morgan mógł się udać dnia tego do Nowego Jorku w poszukiwaniu kapitalisty?

— Nie wiem.

— Byłoby to rzeczą całkiem naturalną i gdybym wiedział, że się nie mylę w przypuszczeniach, powróciłbym do Sydney, zwolniony z przykrej mi syi, która mi ciąży.

Szczera sympatya, dźwięcząca w głosie Byrda, kiedy mówił o nieobecnym i widoczna jego szczerość, odchyliła lodową zaporę, którą się opancerzył pan Goodmann.

— Pomimo woli zmusza mnie pan do mówienia o cudzych sprawach — rzekł z wahaniem. — A więc rzeczywiście Morgan zwierzył mi się z zamiarem swojego wyjazdu. — Chodziło mu właśnie o opatentowanie tego wynalazku. Ale pozatem nie mówił, do którego miasta zamierza się udać — dodał tonem, który uniemożliwiał już dalsze badanie.

Byrd powstał więc z zamiarem pożegnania inżyniera. Spostrzegł wówczas, że nie znajdował się sam w gabinecie pana Goodmanna podczas tej rozmowy.

Mały chłopczyk, ośmio czy dziewięcioletni, który dotąd siedział na dywanie za fotelem, zerwał się i podbiegł do drzwi, otwierając je szeroko. Kiedy Byrd wyszedł, podążył za nim do przedpokoju i tam nagle uchwycił go za rękę, mówiąc proszącym, nieśmiałym głosem:

— Och, panie! Niech pan nie pozwoli, aby uczyniono co złego panu Morgan! On taki dobry! Ja mogę panu powiedzieć, gdzie był tego dnia, bo ja wiem, wiem! Chce pan, to powiem!

— Powiedz, dziecko, powiedz! — szepnął Byrd, dziwnie wzruszony.

— On nie był w Nowym Jorku! Nie mógł tam być, bo przysłał do tatusia list, a tatuś dał mi znaczek pocztowy do mojego zbioru. Na tym znaczku wyczytałem: Monteith.

Poczem, nie czekając na odpowiedź, chłopiec wybiegł z przedpokoju, dumny z zasługi, jaką oddał swojemu przyjacielowi, panu Morgan.

Byrd zaś przeciwnie doznał dziwnej przykrości. Wiadomość ta zaskoczyła go boleśnie.

Monteith, to była pierwsza stacya kolejowa pomiędzy Buffalo a Sydney.

Druga ścieżka.

Aresztowanie Gordona Hildreth zadowoliło na razie ciekawość publiczności i zwróciło jej uwagę w stronę oskarżonego.

Nikt więc nie kontrolował czynności Byrda po jego powrocie do Sydney i pozwolono mu działać dalej w spokoju i rozwadze.

Pierwsze wywiady nie dały mu nic więcej nad to, co oczekiwał. — Nie widziano siostrzeńca pani Clemmens, ani nikogo innego, podobnego do niego, na stacyi w Sydney w dniu 28 listopada. Nie widziano go również w tramwaju, idącym z dworca do miasta.

— Zapewnie w Monteith znajdę to, czego tutaj szukam! — powiedział sobie Byrd.

Ale przed udaniem się do tego miasteczka chciał jeszcze wyeksploatować z gruntu lasy okoliczne, był bowiem przekonania, że tam się musiał schronić morderca po dokonaniu zbrodni.

Teraz, kiedy już odkrył ścieżkę, prowadzącą do willi profesora Darlinga, Byrd nie potrzebował męczyć się i błocić, przechodząc bagniska, ciągnące się za Białym Domkiem. Wsiadł więc na tramwaj, idący aż do West Rigde, skąd wkrótce dostał się do polanki, na końcu której zauważył był szopę węglarzy.

Tym razem nie spieszył się z obejrzeniem tej szopy, która zawierała zresztą tylko stół i ławę bardzo prymitywnej roboty. W jednym rogu wznosił się stos gałęzi i chrustu, przygotowany widocznie dla wzniecenia ognia.

Wychodząc z polanki, Byrd odkrył po prawej stronie szopy, trochę w tyle, inną ścieżkę, która zdawała się prowadzić w stronę przeciwną, niż pierwsza. Ścieżkę tę Byrd postanowił również starannie wybadać.

Trudna była do przejścia i dłuższa, niż tamta. Poprzecinana była głębokimi parowami, o brzegach ostrych i skalistych; dalej trochę ciągnęła się przez rozległe karczowisko, gdzie ginęła w gąszczach kolczastych, nie do przebycia. Byrd jednak przedarł się przez tę zaporę i doszedł do wniosku, że ścieżka w odległości kilometra łączyła się z drogą leśną, prowadzącą do stoku wzgórza. Po drugiej stronie rzeki, wijącej się w dole, spostrzedz było można stacyę kolejową i rozsypane wkoło niej niewielkie domki o czerwonych dachach. Było to zapewne Monteith.

Droga schodziła łagodnie, aż do wybrzeża rzeki, ciągnąc się wzdłuż ku mostowi, widocznemu w pewnem oddaleniu. — Idąc tędy, trzeba było bardzo okrążać, ale Byrd nie widział sposobu skrócenia tej drogi. Zresztą nie narzekał wcale na stratę czasu, zachwycony, iż odkrył ścieżkę, którą bez wątpienia biegł morderca pani Clemmens.

Przeszedłszy most, Byrd udał się główną drogą do dworca w Monteith. Dworzec ten był niewielki, zatrzymywała się tam nieliczna ilość pociągów osobowych.

Naczelnik, znudzony i spragniony rozmowy, chętnie zawiązywał znajomość z podróżnymi, którzy się tu zjawiali.

Oznajmił więc bardzo uprzejmie Byrdowi, że pociąg do Sydney nadejdzie dopiero za czterdzieści minut.

— Niewielki tu ruch być musi — zauważył Byrd, siadając na ławce i zapalając papierosa.

— Rzeczywiście — odparł naczelnik — oprócz robotników z kamieniołomów rzadko kiedy widzi się kogo innego.

— Proszę pana! — zahazardował Byrd — Czy nie mógłby mnie pan objaśnić w pewnej rzeczy?

— Ależ owszem, proszę, jestem do usług pana.

— Czy w zeszłym tygodniu nie widział pan... wsiadającego tu do pociągu młodego człowieka... z inteligencyi... nie robotnika... bruneta, z gęstym wąsem. Ubranie miał jasne, popielate, albo może też szeroki płaszcz gumowy.

Naczelnik zastanowił się chwilę.

— Tak, tak! — zawołał wkońcu — Zdaje mi się, że sobie kogoś takiego przypominam... Ten młody człowiek miał czarne oczy, nieprawdaż? Czarne i z niezwykłym blaskiem!

Byrd przytaknął ruchem głowy.

— Niósł w ręce kwadratowy worek skórzany! Ten worek właśnie zwrócił moją uwagę swoją oryginalnością!

— Bardzo to możliwe! — odpowiedział Byrd, myśląc o modelu młodego wynalazcy.

— W takim razie widziałem na pewne tego pana, o którego pan pyta. Widząc go, idącego drogą do dworca, zauważyłem go natychmiast. Był zgrzany, jak gdyby biegł szybko.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z tygodnia.

Wiedeńskie Koło Polskie o sprawie polskiej.

Dnia 13. b. m. odbyło się pod przewodnictwem prezesa dra Bilińskiego posiedzenie komisyi politycznej Koła Polskiego w Wiedniu.

Na posiedzeniu tem prezes Koła zawiadamia przedewszystkiem komisyę o przebiegu audyencyi u cesarza. Potem zdał sprawę o konferencyi podkomitetu komisyi u ministra spraw zagranicznych hr. Czernina, niemniej o konferencyi prezydyum Koła z prezydentem ministrów hr. Clam-Martinicem. Omawiał następnie zadania będącej w toku akcyi około zrealizowania manifestu z dnia 5. listopada 1916. Wkońcu przedstawił w ogólnych zarysach pracę komisyi parlamentarnej nad wyodrębnieniem Galicyi.

Nad sprawozdaniem prezesa rozwinęła się obszerna dyskusya, która ujawniła zgodność poglądów na obie najważniejsze sprawy polityki polskiej, mianowicie na akt utworzenia niezawisłego państwa polskiego i orędzie cesarskie o wyodrębnieniu Galicyi.

Komisya wyraziła jednomyślne przekonanie, że w najistotniejszym interesie państwowym narodu polskiego należy domagać się najpełniejszego urzeczywistnienia manifestu z dnia 5. listopada 1916, zapewniającego wprowadzenie w życie państwa polskiego.

Komisya wyraziła również jednomyślnie zapatrywanie, że orędzie cesarskie z dnia 5 listopada 1916 o wyodrębnieniu Galicyi powinno być jako akt równoległy z zapowiedzianem utworzeniem państwa polskiego przeprowadzone z zabezpieczeniem pełnej ekonomicznej i finansowej samodzielności kraju, przy uwzględnieniu wszelkich obowiązków wobec państwa i jego dobra.

Sprawa oddania Legionów polskich na rzecz armii polskiej stanowiła również przedmiot ożywionej dyskusyi, przyczem wyrażono nadzieję, że sprawa ta załatwioną zostanie jak najrychlej.

Prace konstytucyjne Rady Stanu.

Pisma warszawskie zamieszczają następujący komunikat:

W dniu 1-go marca r. b., pod przewodnictwem księdza oficyała H. Przeździeckiego odbyły się posiedzenia obu podkomisyi, wyłonionych przez komisyę sejmowo-konstytucyjną Tymczasowej Rady Stanu. O godzinie 10-tej rano odbyło się posiedzenie podkomisyi sejmowej, wieczorem zaś o godzinie 7-mej podkomisyi konstytucyjnej. Na porządku dziennym posiedzeń obu podkomisyi znajdowały się wybory przewodniczącego, zastępcy przewodniczącego, sekretarza i referenta, oraz omówienie ogólnych zasad podejmowanych przez podkomisye prac.

Komisya sejmowa ukonstytuowała się w składzie następującym: przewodniczący Zdzisław książę Lubomirski, zastępca przewodniczącego p. Mai, sekretarz p. Kaczorowski, referenci: prof. Siemieński i prof. Kutrzeba, członkowie pp.: Dziewulski, Górski, Łuniewski, Nocznicki i br. W. Rostworowski (do obu podkomisyi wchodzą z urzędu: przewodniczący, zastępca przewodniczącego i główny referent komisyi sejmowo-konstytucyjnej).

Po dokonaniu wyborów do prezydyum, zadecydowano, iż głównym referentem podkomisyi będzie prof. Siemieński, referaty zaś zamiejscowych członków podkomisyi będą uważane jako pomocnicze. Ze spraw zasadniczych rozważano celowość systemu dwuizbowego i jednoizbowego oraz ustrój Izby wyższej, przyczem jednomyślnie wszyscy członkowie pod komisyi wypowiedzieli się za systemem dwuizbowym, jako przyjętym niemal w całej Europie.

W kwestyi ustroju Izby wyższej oraz sposobu obsadzania miejsc w niej, zaznaczyła się różnica poglądów członków podkomisyi: jedni wychodzili z założenia, iż dla stworzenia silnej władzy państwowej, potrzebnej powstającemu państwu polskiemu, konieczny jest znaczny wpływ monarchy na Izbę wyższą, uskuteczniany przez nominacyę członków izby oraz opierający się na stałych członkach Izby (dożywotnich), inni wychodzili z założenia, iż ustrój Izby wyższej przeważnie powinien opierać się na zasadzie wyborczej. Dyskusya powyższa miała posłużyć jedynie jako wskazówka dla referenta, do zoryentowania się w nastrojach, panujących wśród członków podkomisyi w sprawie ustawy sejmowej i ordynacyi wyborczej.

Podkomisya konstytucyjna zorganizowała się w składzie następującym: przewodniczący dziekan Parczewski, zastępca przewodniczącego, ksiądz prałat Chełmicki, sekretarz p. Zdrowski; referent prof. Cybichowski, członkowie pp. Grendyszyński, Konic, Kunowski, Maliniak, Ochimowski, prof. Rostworowski i Studnicki. — Prof. Cybichowski, jako główny referent podkomisyi, podjął się opracowania całej ustawy konstytucyjnej, przy tem prace innych członków mają służyć jako pomocnicze referaty. W miarę postępu prac u prof. Cybichowskiego mają się odbywać posiedzenia podkomisyi o charakterze informacyjno-dyskusyjnym.

Delegacya Rady Stanu do Koła Polskiego w Berlinie.

Jak donoszą z Berlina do „Dziennika Piotrkowskiego“, przybyli delegaci Tymczasowej Rady Stanu: wicemarszałek Pomorski i dyrektor departamentu politycznego W. hr. Rostworowski i odbyli narady z Kołem Polskiem. Przedmiotem narad miała być między innemi sprawa zniesienia ustaw antipolskich w Poznańskiem.

Zjazd biskupów w Warszawie.

Dnia 10 b. m. odbył się w Warszawie zjazd polskich biskupów z powodu setnej rocznicy utworzenia tamtejszego arcybiskupstwa. Przybyli do Warszawy: X. arcybiskup Bilczewski ze Lwowa, X. Teodorowicz arcybiskup obrządku ormiańskiego, X. biskup Wałęga z Tarnowa, X. biskup Zdzitowiecki z Włocławka, X. biskup Nowowiejski z Płocka, X. biskup Łosiński z Kielc, książę biskup Sapieha z Krakowa, X. arcybiskup Dalbor z Poznania, X. biskup Ryx z Sandomierza, administrator dyecezyi lubelskie X. prałat Kwiek X. biskup Pelczar z Przemyśla, X. prałat Mateusz Dobryłło, administrator dyecezyi sejneńskiej.

W sobotę o godzinie 10 zrana w pałacu arcybiskupim przy ulicy Miodowej rozpoczęła się konferencya biskupów metropolii warszawskiej pod przewodnictwem X. arcybiskupa Kakowskiego, w obecności biskupa sufragana X. Ruszkiewicza. Po odmówieniu modlitw w kaplicy pałacowej dostojni uczestnicy konferencyi przystąpili do obrad nad sprawami: kościelnemi, szkolnemi, oraz społecznemi, dotyczącemi całej metropolii warszawskiej. W charakterze konsultorów towarzyszą ks. biskupom: X. prałat Dr. Z. Chełmicki, X. infułat H. Przeździecki, wikaryusz generalny archidyecezyi warszawskiej w Łodzi X. oficyał prałat Czerkiewicz z Kielc, X. prałat Szelążek, regens seminaryum z Płocka, X. prałat Owczarek, regens konsystorza z Włocławka, X. kanonik Jan Gajkowski, rektor z Sandomierza, oraz z ramienia konsystorza warszawskiego rektor konsystorza archidyecezyi warszawskiej.

Wieczorem, w salonach p. Michała Karskiego, tajnego szambelana Jego Świątobliwości odbyło się uroczyste przyjęcie, wydane na cześć dostojników Kościoła, przebywających w stolicy Polski. Oprócz dostojników Kościoła, w gronie gości reprezentowane były najpoważniejsze koła obywatelskie stolicy i ziemiaństwa, obok przedstawicieli władz miejscowych. Zebranie otworzył serdecznem słowem powitalnem p. Karski; w odpowiedzi przemówił J. E. X. arcybiskup Bilczewski.

Dnia 11 b. m. o godzinie 11 rano dostojnicy Kościoła zgromadzili się w katedrze św. Jana, aby wysłuchać uroczystej sumy, celebrowanej przez X. arcybiskupa Kakowskiego, podczas której X. arcybiskup Teodorowicz wygłosił kazanie. Kościół katedralny publiczność wypełniła po brzegi.

Dnia 11 b. m. została przyjęta w pałacu arcybiskupim przez zjazd biskupów polskich urzędowa delegacya Tymczasowej Rady Stanu w osobach marszałka koronnego oraz członków Rady ks. F. Radziwiłła i p. A. Łuniewskiego.

Jakie nadzieje przywiązywano w Warszawie do tego zjazdu, świadczy powitalny artykuł wstępny „Głosu Stolicy“ z dnia 12 b.m. Artykuł ten, p. t.: „Zjazd biskupów“, kończy się następującymi wywodami:

„Nie wiemy, jaki jest bezpośredni cel zjazdu biskupiego i jaki przebieg będą miały ściśle poufne narady, ale to jest pewne, że związane one będą ze sprawą wielką, największą dla wszystkich Polaków — ze sprawą powstającego państwa polskiego. Nowe perspektywy dziejowe, otwierające się przed Polską, a więc i przed katolicyzmem w Polsce, musiały zgromadzić książąt Kościoła, wśród których znajduje się następca prymasów polskich, następca tych, co podczas bezkrólewia piastowali najwyższą władzę w państwie. Jesteśmy przekonani, że w takim momencie troski i prace arcypasterzy zwrócą się przedewszystkiem ku zagadnieniom zewnętrznej polityki, ku sposobom utrwalenia samego istnienia państwa, odsuwając sprawy wewnętrznych stosunków i urządzeń na dalszy plan, ku sposobniejszej porze, kiedy już państwo polskie ustali się ostatecznie. Żadna bowiem sfera, żadna grupa przekonaniowa czy społeczna, żaden stan, ani żadne wyznanie nie zaspakaja dziś swoich specyalnych potrzeb, pragnień czy praw, ale wszystkie podporządkowują je myśli i trosce o Polsce, odzyskującej byt państwowy. Taki też wzór patryotyzmu dać winno najdostojniejsze zgromadzenie jakie w Polsce dzisiejszej, pozbawionej jeszcze szczęścia posiadania własnego króla, może się odbyć.“

Proklamacya nowego cara rosyjskiego.

Nowy car Michał Aleksandrowicz wydał następującą proklamacyę do narodu:

„Wolą mego brata nałożony został na mnie ciężki obowiązek przez przeniesienie na mnie podczas wojny, wśród wewnętrznych niepokojów, cesarskiego tronu. Przepełniony tą samą myślą, jak cały naród, że dobro ojczyzny stoi ponad wszystkiem, powziąłem silne postanowienie przyjąć najwyższą władzę tylko pod warunkiem, jeżeli to jest też wolą ludu, którą lud wyrazi w drodze plebiscytu przez swych reprezentantów w konstytuującem zgromadzeniu, które musi ustanowić formę rządu i nową konstytucyę państwa rosyjskiego.

„Błagając o błogosławieństwo Najwyższego, wzywam wszystkich rosyjskich współobywateli, by podporządkowali się rządowi, utworzonemu za inicyatywą Dumy i mającemu wszelką władzę i powagę, aż przez powszechne, bezpośrednie, równe, tajne głosowanie wybrane konstytuujące zgromadzenie wyrazi przez swą uchwałę votum o formie rządu.“

Maryla Rola Rakowiecka.

(Do illustracyi na str. 10).

Niebawem Kraków będzie miał możność podziwiać znakomitą śpiewaczkę opery warszawskiej, p. Marylę Rakowiecką, której występy w Warszawie są sensacyą sezonu, pociągając każdym razem tłumy publiczności. — Krytyka warszawska w najbardziej entuzyastycznych słowach zdaje z nich sprawę. — F. Brzeziński pisze na przykład w „Kuryerze Warszawskim“: „P. Rakowiecka należy do tych rzadkich zjawisk w świecie artystycznym, które mają dar promieniowania ciepła, które po prostu porywają. Co się na ten dar składa, co jest jego największą przyczyną, czy rodzaj głosu, czy sposób śpiewania, czy siła ekspresyi, czy wreszcie wdzięk całej postaci artystki — mniejsza o to — dosyć, że słuchacz ulega wzruszeniu, jest przejętym do głębi. Nie robiąc żadnych porównań, przytoczę tylko jako przykłady tego typu: Bellincioni i Kruszelnicką“.

Wobec tak niezwykłego powodzenia, jakiem cieszy się p. Rakowiecka w Warszawie, jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że zapowiedziany występ jej w Krakowie wywołał ogólne zainteresowanie.

Kronika tygodniowa.

Z pewną ulgą biorę dziś pióro do ręki. Dobiegliśmy szczęśliwie środka Wielkiego Postu i doczekaliśmy się nareszcie wiosny, na razie bodaj kalendarzowej. Śniegu jeszcze dość, czekającego na stopnienie pod wpływem ciepłych promieni słonecznych, mrozy nie robią sobie nic z braku węgli i nie pozwalają nam zapomnieć, że zima dopiero co skończyła swe panowanie i może jeszcze powrócić i dać się nam we znaki. Na marzec przypada co roku koci karnawał, który w tym roku nie udał się zupełnie. Po inne lata bywało w tym czasie i cieplej i pogodniej, sympatyczne nasze Maciusie i Mruczusie mogły więc z całą swobodą oddawać się miłosnym praktykom. Ruch też panował nocami na dachach, w powietrzu rozlegały się miłe głosy zakochanych kotów i kotek.

Jedna z przyjaciółek kociego rodu zwróciła moją uwagę na okoliczność, iż ulubieńców jej widać w Krakowie coraz mniej. Ubytek ten, wedle jej zdania, ma stać w pewnym związku ze sprawą aprowizacyi miasta, zwłaszcza, o ile to dotyczy sfer najuboższych. W kuchniach restauracyjnych obecnie także trudno spotkać kota, pojawiają się z zasady dopiero w okresie polowań na zające.

O ile więc koci karnawał nie dopisał (a cóż one lepszego od nas?... Czy kto z nas bawił się w karnawale?... przyp. zecera), o tyle też nie można liczyć na zbytnie rozmnożenie się kotków, na czem najlepiej wyjdą myszy, nie robiące sobie nic z Wielkiego Postu, zwłaszcza w domach, gdzie nagromadzono sporo „wojennych“ zapasów. A za takie lekceważenie sobie przepisów, obowiązujących nawet i ludzi, powinna je spotkać zasłużona kara. Ale gadaj tu kotowi o myszy, gdy on ma w głowie teraz karnawał i polityk ę.

Ludzki karnawał, rzecz prosta, nie udał się wcale, co odbiło się bardzo ujemnie na liczbie zawartych małżeństw. Narzekają z tego powodu zwłaszcza starsze panienki, czekające już od dłuższego czasu na królewicza z bajki, który zajechałby przed ich podwoje w pozłocistej karecie i poprosił mamę dobrodziejkę o rękę, serce i t. d. jej pociechy... Ale, niestety, królewicz się nie zjawia. Kandydatów do stanu małżeńskiego wprawdzie nie brak, jak to wnosze z działu inseratowego *Nowej Reformy*, przynoszącego codziennie po kilka tego rodzaju ogłoszeń ale, bez wstydni, żądają nie tylko inteligencyi, piękności, gospodarności, łagodnego charakteru i tym podobnych przymiotów, ale przedewszystkiem posagu i to dochodzącego nieraz do pięciu zer w ogonie... A ona, biedaczka, ma rzeczywiście tylko zero!... Mężczyźni, którzy zostali w domu, lub superarbitrowani (do służby wojskowej niezdatni, zdatni natomiast do małżeńskiego jarzma) powrócili z pola walki bez większych defektów cielesnych, każą sobie porządnie płacić za utratę wolności. Jedno tylko skromne ogłoszenie przypadkiem raz znalazłem. Brzmiało ono: „Mężczyzna przyzwoity, na stałem stanowisku, niezkiego wzrostu, poszukuje żony z odpowiednim posagiem“, a tak mi się spodobało, iż, dalibóg, gdybym był panną, wdową lub rozwódkę i posiadał posag, odpowiadający jego niskiemu wzrostowi, złożyłbym zaraz ofertę. Jeszcze bardziej idealnym jest inny „mężczyzna czterdziestopięcioletni, na stanowisku, niezwykłych zalet charakteru, duszy i serca (tak się przynajmniej sam chwali!...), który pragnie wymiany myśli z kobietą, choćby bez posagu, lecz bardzo dobrą, intelligentną, miłą, skromną, rozumiejącą życie, pragnącą cichego szczęścia“.

Kobiet, ogłaszających się, jak to skonstatować miałem sposobność, jest stanowczo mniej. Dlaczego, nie wiem. Być może, wychodzą z zasady: „Siedź w kącie, znajdą cię!“ Ale teraz może bardzo łatwo zawieść to przysłowie, gdyż kobiet jest zatrzęsienie, a kawalerów i wdowców ogromny brak.

Nie wiem zresztą, po jakiego licha poruszam ten, bądź co bądź sympatyczny temat, skoro znajdujemy się w samym środku Wielkiego Postu, nie nadającego się zupełnie na miodowy miesiąc. Chyba, że ktoś weźmie sobie żonę starą i brzydką. W takim razie można o nim powiedzieć, iż czyni pokutę za swe grzechy, a właśnie wielkopostny czas na to jest przeznaczony.

Zachęcać do wstępowania w związki małżeńskie, choć mam trzy córki (wszystkie w kwiecie wieku!..) na wydaniu, nikogo nie myślę, nie mam też zamiaru nikomu odradzać, słowem, gdyby mnie w tej materyi ktoś o zdanie zapytał, odpowiedziałbym: „Rób pan, jak się panu podoba!“ Jeżeli zaś wspomniałem o tem, to tylko ze względu na ową mnogość inseratów małżeńskich, czego się dawniej nie widziało i nawiązując do kociego karnawału.

Słów kilkoro należy się także i Wielkiemu Postowi, trwającemu u nas wedle kalendarza kościelnego przez dni czterdzieści, z reguły zaś, o ile rok nie jest przestępnym, przez trzysta sześćdziesiąt pięć. Czas ten powinien być obrócony na przygotowania przedświąteczne. Dawniej w tym okresie odbywała się też rzeź niewiniątek, co to ryjkiem furtkę sobie otwierają i z powodu swego niechlujstwa nazywane bywają świniami. Jakże dziś inaczej wygląda gospodarstwo domowe, niż po inne lata w tym samym czasokresie!.. Ze wszystkich kątów wyziera pustka, rozpanoszyła się ona nawet i w szpiżarni. Zrozpaczone myszy snują się jak cienie, „nie wiedząc, coby pożreć!“... Chude biedaczki, istny szkielet, powleczony skórą! Zupełnie niepodobne do nich są ich koleżanki z poza ściany. Okrągluteńkie jak wałeczki, ale też są na wychowaniu nie u chodzącego w dziurawych butach dziennikarza, ale u kamienicznika, napychającego swój żywot kluskami z prawdziwej nulki... Na taki okaz to i kot się złakomi. Moją myszkę można mu do ogona przywiązać, nie ruszy jej nawet, co najwyżej spojrzy tylko na nią z politowaniem.

Ze względu na owe szpiżarniane braki, tegoroczne święta Wielkiejnocy przedstawiam sobie już dziś w bardzo czarnych kolorach, oczekując lada dzień podwyższonej taryfy maksymalnej na świńskie delikatesy. Równocześnie z nami obchodzą i Żydzi swą Paschę, według przepowiedni domowych meteorologów można się więc spodziewać deszczu i niepogody, a może nawet i śniegu. Wypiek mac także się opóźni, ale jest już podobno na dobrej drodze, gdy tymczasem my dziś już wyrzec się musimy świątecznych placków, bab i mazurków. Moja Weronika jest z tego powodu pogrążona w najczarniejszej z czarnych rozpaczy.

Martwi się tem bardziej, niż ja wówczas, gdy mi skradziono ostatnią parę jakichtakich trzewików. To mnie tylko pocieszyło, iż spotkałem się z ogólnem współczuciem, tak kolegów zawodowych, będących przeważnie w takiem samem, jak ja „dziurawem“ położeniu, jak i najszerszych sfer społeczeństwa. Jeden z mych przyjaciół politycznych wystosował do mnie pismo kondolencyjne, ubolewając, iż sam posiada tylko jedną parę kamaszków, gdyż chętnie podzieliłby się ze mną po bratersku. Ale cóż nam obydwu przyjdzie po jedynym egzemplarzu, skoro mamy po dwie nogi?... W każdym razie umiem ocenić jego dobre chęci i nigdy mu tego nie zapomnę, gdyż jestem taki, iż sercem płacę za serce!

W miarę, jak zbliżamy się do lata i jesieni, przed rozpoczęciem której miała się, według zapowiedzi, ukoń zyć wojna, widzimy, że horyzont polityczny, zamiast się rozjaśniać, zaciemnia się coraz bardziej. Niespodzianką dla wszystkich był wybuch rewolucyi w Rosyi i detronizacya cara, który bawił właśnie na froncie i wraz z królem rumuńskim przygotowywał się do ofenzywy. Czekano tylko, aby jenerał Sarrail w Salonikach ukończył swój miodowy miesiąc, zachciało mu się bowiem na starość zakosztować słodyczy małżeńskiego pożycia i ożenił się z pielęgniarką. A trudno mu w tak ważnej chwili przeszkadzać. Wobec tej, tamta ofenzywa może poczekać.

Rewolucya w Rosyi jest bezwątpienia dziełem Anglii i Francyi, które w kraju sprzymierzeńca rządziły się, jak u siebie w domu, ale się nieco przeliczyły, gdyż z pewnością nie leżało i nie leży w ich interesie, by ona miała przybrać rozmiary takie, jak obecnie widzimy, zwłaszcza, że, według niesprawdzonych dotąd doniesień, miał paść jej ofiarą i angielski ambasador przy rosyjskim dworze, Buchanan. Ale dobrze im tak. Kto wiatr sieje, burzę zbiera! Chcieli zaszachować cara, bojąc się, by przypadkiem nie zachciało mu się odrębnego pokoju, judzili też przeciw niemu rosyjską partyę wojenną, wierzącą jeszcze w zwycięstwo, ale pokazało się, że nie zdawali sobie sprawy z ogólnego nastroju, jaki w Rosyi panuje, zwłaszcza zaś od chwili, gdy rozeszła się po kraju hiobowa wieść, iż rząd zakazał wyrobu i sprzedaży wódki-pocieszycielki!.. Tego było Moskalom już zadużo, niezadowolenie wybuchło z żywiołową siłą. Car Mikołaj przeszedł w czasowy stan dobrze zasłużonego spoczynku, który tak zalecał swojego czasu swemu stryjaszkowi, Mikołajowi Mikołajewiczowi. Nie mogąc znieść bezczynnego życia ogląda się pono za jakiemś zajęciem dla siebie i z boleścią powtarza, że musiał wypić piwo, jakiego mu nawarzyli Anglicy, serdeczni przyjaciele i sprzymierzeńcy.

Ciekawy jestem, jak się teraz na sytuacyę ogólnoświatową zapatruje pan Wilson, dotąd jeszcze chory i niezdecydowany, czy ma wypowiedzieć Niemcom otwartą wojnę, czy też czekać, aż się sytuacya wyklaruje. Chiny nie namyślały się tak długo. Uległy presyi koalicyi i zerwały z Niemcami stosunki dyplomatyczne, choć najmniej miały do tego powodu i kto wie, czy na tem nie zyskają, jak Rosya na radach i przyjaźni Anglii. Ale czegóż nie zrobi się dla interesu, skoro wojna ta pod jego tylko znakiem, a im obiecano moratoryum w płaceniu odszkodowania za powstanie bokserów, jeżeli przejdą otwarcie na stronę wrogów mocarstw centralnych. Z kolei rzeczy powinna się teraz Anglia zabrać do nich „po przyjacielsku“ i zaprowadzić takie same, jak w Rosyi, porządki. Wówczas przyjdzie może opamiętanie, ale będzie już zapóźno.

Na temat rewolucyi rosyjskiej snują nasi politycy większego i mniejszego kalibru najróżnorodniejsze kombinacye, a spieszą się z niemi, by tymczasem nie zabrakło piwa bez którego dyskusye wszelakie mdłe są i suche Rząd zapowiedział, iż od czerwca zawieszoną zostaje fabrykacya piwa, by zaoszczędzić na słodzie, rozpoczęcie się zaś dopiero po żniwach i po ustaleniu wyników zbioru. Tymczasem rolnicy już dziś pesymistycznie zapatrują się na tę kwestyę, czeka nas więc niezbyt miła perspektywa na przyszłość.

Chyba, że wojna zakończy się jeszcze przed jesienią i to w tym roku, ale, jak z tego widać, na to się jakoś nie zanosi, choć, jak słyszymy, wyłazi ona już bokiem i koalicyi. O Rosyi była wyżej mowa, we Włoszech bieda, że aż trzeszczy, nawet bogata Anglia zaczyna przyciągać pasa i przyznaje w duchu, że jeśli tak dalej pójdzie, to „nie da rady“.

Onegdaj czytałem znowu artykuł, zdaje mi się w *Nowej Reformie*, kreślący bardzo zajmujący stosunki, panujące we Francyi, głównie zaś w Paryżu. Przedewszystkiem narzekają więc Paryżanie na brak chleba, a jeżeli go mają, to na jego jakość. Ilość, jaką każdy obywatel otrzymuje, nie wystarcza nadto na zaspokojenie głodu, a Francuzi, zwłaszcza teraz, cieszą się bardzo dobrym apetytem i nie potrzebują go podniecać sztucznymi środkami, owszem, daliby wiele, gdyby ktoś wynalazł na czas wojny jakieś antidotum o skutku zupełnie przeciwnym U nas narzeka się głośno na piekarzy, tam nie można sobie na to pozwolić, państwie majstrowie są bowiem przeważnie na froncie, a interesy prowadzą ich nadobne małżonki, niewiasty bardzo energiczne, jak się pokazało. Z niemi zadzierać stanowczo się nie opłaci. Zawiązały nawet Ligę piekarek, na czele której stoi prezydentka, pani Preteux.

Wszystko jednak ma swój koniec Paniom piekarkom sprzykrzyła się samotność, zaczęły się więc domagać, aby ich mężowie powrócili do ich boku. Liga wysłała w tym celu deputacyę pod przewodnictwem swej prezydentki do panów ministrów i do Izby deputowanych, a gdy jej zabiegi nie odniosły pożądanego skutku wydała hasło: „Zamknąć piekarnie!“...

I tak się stało. Paryż został bez chleba. Ministrowie spuścili z tonu, panie piekarki okazały także pewną ustępliwość, wobec czego minister wojny wydał polecenie, by część majstrów piekarskich powróciła z pola i etapów „do ciasta, pieców i połowic“...

W jednym fakcie natomiast znalazłem zupełną analogię z naszymi stosunkami. Od dwudziestego piątego lutego ma Paryż karty na cukier, ale od tego samego czasu cukru nie posiada i obchodzi się smakiem, czekając na lepsze czasy. Wielu Paryżan próbowało gryźć kartki cukrowe, pokazało się przecież, że zupełnie nie są słodkie.

Dowiedzieliśmy się także przy tej sposobności, jaki skład mają znane francuskie specyalności spirytualne. Różne wspaniałe koniaki i inne mikstury, to zwykła blaga i wyzyskiwanie łatwowierności konsumentów, którzy płacą wygórowane ceny (a u nas?... przyp. zecera). Fabrykanci francuscy przerazili się, gdyż rząd miał zamiar zakazać wyrobu i wyszynku trunków, zdaje się przecież, że zmusztony przykładem „koleżanki“ Rosyi, da spokój i zostawi, jak było *in illo tempore*, gdy nie rozlegał się grzmot grubych Bert i trzask karabinów maszynowych.

Natomiast zaimponowało mi jedno francuskie zarządzenie i, gdyby u nas zawakowała podobna posada, niezwłocznie rozpocząłbym starania o jej uzyskanie. W Paryżu wolno podać jednemu gościowi w restauracyi tylko dwie najwyżej potrawy. Celem dogladania, czy gospodarze stosują się do przepisów, ustanowiono komisarzy rządowych, których obowiązkiem jest zwiedzanie restauracyi i spożywanie dwu potraw, a potem dopominanie się o trzecią Biada restauratorowi, jeśli zlituje się nad rzekomo głodnym! Wnet dosięga go ręka karzącej sprawiedliwości. Codziennie musi pan komisarz zwiedzić dwie lub trzy restauracye, koszta ponosi prawdopodobnie rząd, jeśliby bowiem miał je opędzać z własnej kieszeni, stanowczo by mu się to nie opłaciło. I ja w tym wypadku nie kompetowałbym o tą posadę.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył X. Y., raków.

W miejsce kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o pewnem znaczeniu. Litery te, czytane z góry na dół, ut orzą nazwiska dwu osobistości, które w tym czasie ustąpiły ze swych stanowisk.

— ioa
— pal
— iwa
— awa
— gat
— oża
— uma
— won
— oża
— iga
— zaw
— opa

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tv! Wyjmę świerk żyda, a ty sowę.

Liczbówka.

Ułożył A. J. Tonek, raków.

Miejsce cyfr zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzą znane polskie przysłowie.

13
9 2 17
11 2 3 5 23
18 5 2 4 15 8 2
8 12 2 14 5 2 25 8 3
1 2 3 4 5 6 7 5 8 9 10
14 22 9 21 14 5 21 8 9
14 19 16 5 4 3 5
2 21 20 2 17
2 9 2
10

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Przyjaciel Mickiewicza. 3 Tytuł lekarzy tureckich 4 Poeta włoski. 5 Miasto w Rosyi. 6 Druga część przysłowia. 7 Wulkan w Europie. 8. Polski autor pamiętników. 9. Rzeka w Azyi. 10. Imię żeńskie cygańskie. 11. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Krakow

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Bierz kruku tace od M.

Okienko.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a d
e e e
i i n n n
n n n
t t t t y

Znaczenie wyrazów: 1. Bogini grecka. 2 Bogini grecka. 3. Miasto w Grecyi.

Rozsypane litery.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

c, ć, ć, d, n, ł, ł, m, o. o, o, o, p, ś, ś.

Równanie.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć po tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik Z każdego należy wyjąć jedną sylabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko, w drugiem imię zmarłego niedawno polskiego historyka

$$\frac{a}{3}+\frac{b}{2}+\frac{c}{4}+\frac{d}{3}=x$$

$$\frac{m}{4}+\frac{n}{2}+\frac{o}{3}=y$$

Znaczenie wyrazów a) Powieść Sienkiewicza. b) Płaz c) Malarz polski d) Polski powieściopisarz. m) Miasto w Galicyi wschodniej n) Rzeka w Afryce o) Imię męskie.

Trójkąt magiczny.

Ułożył E. Winter. Tarnów

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko współczesnego polskiego humorysty.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów 1 Szukane wyrazy 2 Tytuł 3. Bryła 4 Państwo europejskie. 5 Rodzaj gry 6 Przezwisko amerykanskie 7 Inaczej surowość 8 Zwierzę drapieżne. 9 Pierwiastek. 10 Pytajnik 11. Spółgłoska

Łamigłówka wyrazowa.

Ułożył A. J. Tonek, Kraków.

Z liter, składających wyrazy:

Handel Sejm, Ezaw Rok, E.

ułożyć imię i nazwisko słynnej polskiej artystki dramatycznej

Bilety wizytowe.

Ułożyło Towarzystwo amatorów w Stryju

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

ANIELA GRĘPIK.

ZAMORSKI

M. TRZEPALSKI.

OTOKAR PANIER.

IZAK MAJER KRIS.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10.

Grzebieniówka:

P i e r w i o s n e k
o k i t o a
p s u w s ł
i p o o o u
e i g r r ż
l a r n o n
i c o i ż j
c y n c e c
e a a a c a

Zadanie do przestawienia: Zdaleka cielę zbliska pies.

Łamigłówka:

K a w k a
K l i m a
K a l k a
K o s m a
K r o w a
K o n a r

Łamigłówka literacka:

Wawrzyny.
Idealiści.
Ego.
Nocna zabawa.
Hrabia syn.
As
W godzinach męki.
Skarb.
Kiry i wawrzyny.
Inaczej

Kwadrat magiczny:

M a x i m H i r a m
A x e n t o w i c z
X a w e r y A d a m
I m a g i n a c y a
M a d a g a s k a r
H r u b i e s z ó w
I n s p i r a c y a
R e w e r e n c y a
A u t o d y d a k t
M i a s k o w s k i

Przysłowiówka Pierwsza żona od Boga, druga od ludzi, trzecia od dyabła.

Zadanie do przestawienia: Uderz w stół, a nożyce się odezwą

Zadanie do przestawienia: Niestety, zjadł pies kotlety.

Bilety wizytowe: Kapelusznik Kościelny Zwrotniczy Bileter. Gimnazyalistka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Bodyńska Kraków. M Sokołowska Kraków S Karwowski Gniezno. H Bukowska Winnica. R. Topolnicki Wiedeń. B. Osadziński Krosno. D Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, S Krzyżanowska Podgórze J Charzewski Kraków. S Wysoczański Poznań. M Planecka Kraków Z. Sperling Wiedeń, F. Horak Oświęcim S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn. M Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała K Makowski Zakopane. J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S Wilczyński Kraków, S. Mroz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń. K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M Kowalska Kraków. J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K Borowiecki Lwów M Wolska Wiedeń M Kaczyńska Lwów. W Nowiński Tarnów, R Wojcik Przemyśl. Z Małecki Lwów, S Burzyński Jasło, M Borkowska Przemyśl Z Walbowski Brzesko H Dziedzic Tarnów, E. Winter Tarnów, R. Kunicki Lwow, E Bogdalska Koroonż

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **R. Wolański Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Dożywotnie stypendyum dla literatów i artystów. Skutkiem śmierci ś p Seweryna Obsta, wolnem jest jedno stypendyum dożywotnie w rocznej kwocie 00 kor z fundacyi ś p. dra Józefa Malinowskiego Ubiegać się o to stypendyum mogą literaci i artyści, jako to muzycy, malarze, rzeźbiarze, aktorowie, którzy na polu ojczystej literatury lub sztuki szczególniejsze zasługi położyli, a wskutek choroby, kalectwa lub podeszłego wieku w zawodzie swoim pracować nie mogą i znajdują się bez środków do utrzymania

Ze stypendyum tego korzystać mogą tylko osoby (bez różnicy płci) urodzone w Galicyi lub Wielkiem Księstwie Krakowskiem, wyznania rzymsko katolickiego, narodowości polskiej. Pierwszeństwo do tego stypendyum mają krewni i powinowaci fundatora, o ile, tak samo jak inni, wykażą rzeczywistą potrzebę wsparcia.

Stanowcza propozycya co do nadania tego stypendyum przysługuje w myśl postanowień listu fundacyjnego Wydziałowi Kasyna i Koła literacko-artystycznego we Lwowie. Podania o to stypendyum wnosić należy do kancelaryi Kasyna i Koła literacko-artystycznego we Lwowie, ul. Akademicka l. 13, do dnia 15. kwietnia 1917.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego